LUDWIK GALLET.

KAPITAN CZART.

PRZYGODY CYRANA DE BERGERAC

przełożył

Wiktor Gomulicki,

z przedmową J. A. Święcickiego.

TOM III.

CHICAGO, ILL.
Nakładem i Drukiem Wł. Dyniewicza.
1905.

LUDWIK GALLET.

KAPITAN CZART.

PRZYGODY

CYRANA DE BERGERAC

PRZEŁOŻYŁ

WIKTOR GOMULICKI

z przedmową J. A. Święcickiego.

TOM III.

CHICAGO, ILLINOIS.
Drukiem i Nakładem Władysława Dyniewicza.
1905.

— Na honor, mości proboszczu, nic w świecie nie mogłoby zadziwić mnie tak przyjemnie, jak wiadomość, którą usłyszałem. Mistrz mój przybywa! Chwałaż Bogu! Widocznie zdrowie jego poprawiło się. A taki biedak był słaby, gdym się z nim żegnał w Paryżu. Zdaje mi się, że już mówiłem o tem księdzu proboszczowi?

— Tak, mówiłeś pan — odrzekł ksiądz Jakób, zdziwiony tem zachowanien się gościa, a zarazem skłonny do wątpliwości względem prawdziwego Castilana. — Widzę z zachowania pańskiego, że jesteś szczerze przywiązany do swego mistrza?

—O tak! — wykrzyknął Ben Joel z uczuciem — kocham go, jak ojca!

I uczynił wysiłek, aby przywołać do oczu łzę rozrzewnienia.

Proboszcz wyciągnął doń rękę, zadając sobie w myśli zapytanie:

— Któryż z nich dwóch jest oszustem?

— Dziś jeszcze wieczorem — myślał jednocześnie Ben Joel — będę na drodze do Paryża, z dokumentem w kieszeni. Kapitan Czart może sobie przyjeżdżać. Kpię sobie z niego!

Ksiądz Jakób, wierny danemu przyrzeczeniu, udał się do szopy, aby Castillanowi zdać sprawę z wrażenia, jakie wywołała na Ben Joelu wiadomość o przyjeździe Cyrana.

— To przebiegła sztuka — rzekł Sulpicyusz — umie się znaleść w każdej okoliczności. Byłem prawie pewny, że odegra komedyę radości i rozczulenia. Ma on czujny wzrok na wszystko. Ale poczekaj ojcze do nocy — poczekaj do nocy!

Ben Joel, jak łatwo domyśleć się, na pierwszą wieść o przybyciu Cyrana obmyślił nowy

plan działania, który tej zaraz nocy miał być wykonany.

Przez cały dzień nie wychodził krokiem z plebanii i oznajamiał się dokładnie z urządzeniem mieszkania proboszcza.

Dostawszy się do sypialni, gdzie ksiądz Jakób przepędził większą część popołudnia, dojrzał natychmiast swem okiem ostrowidza dębową szafkę, umieszczoną w głowach łóżka.

— To tam — pomyślał wiedziony właściwym zawodowemu złodziejowi instynktem.

Od tej chwili wiedział już, czego się trzymać. Należało po prostu: albo skorzystać z chwilowej nieobecności proboszcza i otworzyć szafkę wytrychem, albo też, gdyby taka sposobność nie nastręczyła się, wejść nocą do sypialni, zasztyletować księdza i wykraść tajemniczy dokument. Ben Joel nie cofał się przed niczem. Gdy już powziął postanowienie, myślał tylko o tem, jakby je spełnić w sposób najdogodniejszy dla siebie.

Przy wieczerzy, proboszcz, który również wiele rozmyślał o wypadkach tego dnia i, podobnie jak Ben Joel, nakreślił sobie plan działania, rzekł obojętnie do gościa: Przyjacielu Castillanie, dziś, jeśli pozwolisz, udamy się wcześniej na spoczynek. O świcie muszę być na nogach, czeka nas bowiem wczesna msza w kościółku. Pan jednak, będziesz mógł wysypiać się choćby do południa.

—Skorzystam z pozwolenia — rzekł z uśmiechem cygan. — A teraz, jeśli ksiądz dobrodziej chce odejść, proszę nie robić żadnych ze mną ceremonii.

— O! nie śpieszy mi się znów tak bardzo, abym nie mógł przed odejściem poczęstować pana

kieliszkiem wódki miejscowego wyrobu. Nie jest ona tak dobra, jak ta, którą wyrabiają w Cognac, ale pan znasz przysłowie: w braku jegomości...

— Dobry i podstarości — dokończył wesoło Ben Joel.

Po wypiciu małego kieliszka, proboszcz pożegnał gościa, pozostawiając go na opiece gospodyni.

W jakiś czas później, cygan, w przekonaniu, że ksiądz zasnął twardo, wziął świecę i udał się do swego pokoju.

Przechodząc mimo sypialni proboszcza, zauważył, że klucz nie tkwił, jak zwykle w zamku. Nacisnął klamkę i spróbował otworzyć drzwi. Stawiły one opór.

Spróbował raz jeszcze i przekonał się, że były od środka zaryglowane.

— Do dyabła — mruknął zbój. — Klecha zaczyna być podejrzliwy. Nie przewidziałem tego. Ale to nic; zaczekam do jutra. Bergerac, choćby najprędzej pośpieszał, nie przybędzie tu prędzej, niż za dwa dni.

I przemknął się korytarzem, po cichu i nieznacznie, jak cień.

Nie rozebrał się jednak, lecz w ubraniu, przyległ na łóżku, i z wytężonym słuchem czatował na sprzyjającą sposobność.

Ale choć wszystkie siły skupiał, aby być czujnym i przytomnym, około północy zwarły mu się powieki, głowa na poduszkę opadła i zbój zasnął głęboko.

Na wieży kościelnej biła trzecia, gdy ocknął się i zerwał szybko na nogi.

— Bydlę jestem! — zaklął głucho. — Zaspałem. Może już właśnie najlepsza pora minęła.

Przez okno przedzierało się trochę przedporannej jasności. Cygan wyjrzał w stronę kościółka.

Drzwi kościelne były jeszcze zamknięte; na ulicy nie było widać nikogo.

W chwilę później w sypialni księdza dał się słyszeć szmer.

Zbój odetchnął i nadstawił uszu.

Szmer z początku niewyraźny, stał się następnie głośniejszym i Ben Joel usłyszał niebawem skrzypienie otwieranych i zamykanych drzwi od ulicy.

Zbliżył się ponownie do okna i ujrzał księdza, który przeszedł placyk, minął drzwi kościelne i skręcił w małą uliczkę z lewej strony kościółka, zamierzając pewnie wyjść drzwiami do zakrystyi.

Cygan nie tracił czasu na tworzenie nowych domysłów.

Zrozumiał, że należy działać jak najszybciej.

Z największym pośpiechem wydostał z podróżnej torby krótki kawałek zaostrzonego żelaza, oraz kilka wytrychów, następnie wziął w zęby sztylet i skierował się do sypialni proboszcza.

Drzwi były wciąż zamknięte.

Ale dla Ben Joela otwarcie zamku było igraszką.

Po małej chwili pokój stał już otworem.

Cygan rzucił się do środka z pośpiechem i zwinnością tygrysa i najpierw dla ścisłości, przeszukał szybko wszystkie szuflady komody i biurka, następnie zabrał się do dębowej szafki, w której od początku domyślał się zamkniętego skarbu.

Zbadawszy wprawną ręką zamek, podsadził pod niego kawał żelaza i nacisnął go całem ciałem. Drzwi trzasnęły, ale zamek nie ustąpił.

Ben Joel, zajęty całkowicie swem dziełem, zabrał się natychmiast, bez jednej chwili odpoczynku, do powtórzenia próby.

W tej chwili, za plecami jego, rozległ się donośny głos proboszcza:

— Hola! mości Castillanie!! — mówił ksiądz Szablisty, stojąc na środku pokoju, z założonemi na piersi rękoma — a cóż to waćpan porabiasz?

To szydercze zapytanie było dla cygana, jakby pchnięciem noża. Odskoczył od szafki i zwróciła się do proboszcza, zuchwale stawiając czoło niebezpieczeństwu.

Złapany na gorącym uczynku, nie mógł zapierać się i szukać ocalenia w wykrętach. Sciskając ostry nóż w ręce i przybierając groźną postawę, rzekł drwiąco:

— Zanadto pospieszyłeś się, ojcze, ze mszą. Tem gorzej dla ciebie!

— Nędzniku! — zagrzmiał ksiądz Jakób. — Jak śmiałeś to zrobić?

Cygan rzucił się z podniesionym nożem.

W chwili, gdy ręka jego opuszczała się, aby zadać cios śmiertelny, proboszcz pochwycił ją w powietrzu i ścisnął silnie.

— Rzuć nóż! — rozkazał jednocześnie.

Rozkaz był zbyteczny. Zdrętwione od żelaznego uścisku palce zbója same się otworzyły, wypuszczając zabójcze żelazo, które upadło z brzękiem na podłogę.

Ben Joel nie miał widocznie szczęścia do zasadzek.

Chciał mówić, uspokoił się i wężowem pełzaniem całość skóry swej ocalić; chciał słowem, powtórzyć komedyę, odegraną niegdyś z powodzeniem na drodze do Fougerolles — ale ksiądz Jakób nie dał mu na to czasu.

— Gdyby Stwórca nie zabronił rozlewu krwi bliźniego — wyrzekł silnym, ale spokojnym głosem — byłaby to dobra sposobność do uwolnienia społeczeństwa od łotra i zbója. Podziękuj Bogu, żeś dostał się w ręce dobrego chrześcianina.

Ben Joel za całą odpowiedź szarpnął się silnie, aby uzyskać wolność.

— A! tyś to taki! — rzekł ksiądz groźniej. — To nie lubisz słuchać nauk moralnych? Idźże łotrze wieszać się gdzieindziej. Szczęście twoje, że tu nie ma Cyrana!

To mówiąc, proboszcz, bez dłuższych ceregieli, chwycił cygana za kołnierz i za spodnie i zaniósł w powietrzu, nie śpiesząc się, do okna, które otworzył pchnięciem ramienia.

— Nie zabijaj, ojcze wielebny! — zajęczał przerażony Ben Joel — nie zabijaj.

— Skacz, złodzieju! — krzyknął ksiądz, wystawiając go za okno i trzymając oburącz w powietrzu.

— Łaski! — wołał łotr, dusząc się.

— Skacz! — powtórzył proboszcz. — Okno jest na siedm stóp od ziemi. Cóżto, lękasz się, zuchu?

Ben Joel spojrzał w dół i dostrzegł ziemię bardzo blisko.

— Abym mógł skoczyć, puść mnie proszę — wybełkotał pokornie.

— A! zdecydowałeś się nareszcie? To dobrze. No, dalej w drogę! Szczęśliwej podróży kochan-

ku. Ale radzę nie powtarzać sztuki. Na drugi raz nie wykręcisz się tak łatwo!

Ręce księdza puściły zdobycz i cygan, widząc, że mu już nic nie zagraża, zimną krew odzyskał, z kocią sprężystością skoczył na trawnik.

Zaraz też wziął nogi za pas i jął zmykać jak zając, nie bez obawy jednak, czy nie dogoni go w biegu kula wypuszczona z muszkietu.

Po tej egzekucyi, ksiądz Jakób pobiegł czemprędzej do kryjówki Castillana, który nie spał już i czekał niecierpliwie na wiadomości.

Na widck proboszcza, przybywającego z otwartemi rękoma, młodzieniec domyślił się, że zaszło coś stanowczego.

— Kochany chłopcze! — przywitał go ksiądz Jakób, całując w oba policzki. — Ocaliłeś mi życie.

— A! a!? — rzekł Sulpicyusz. — Nasz gość...

— Nasz gość — przerwał proboszcz — jest już daleko. Dostał krzyżyk na drogę!

I w kilku słowach wtajemniczył młodzieńca w cały przebieg sprawy.

— Jakto? — wykrzyknął Sulpicyusz, wysłuchawszy do końca — pozwoliłeś mu ojcze, uciec?

— Nieinaczej. Przestał już być szkodliwym od chwili, gdy go zdemaskowano.

— Ach, jakiż błąd! Stało się jednak. Wszystko, co czynisz, ojcze, musi być dobre, bo wszystko wypływa z niezmiernej dobroci serca. Przyjazd pana de Bergerac położy kres niepokojom księdza proboszcza i zabezpieczy go od wszystkiego.

— Amen! — zakończył, uśmiechając się ksiądz Jakób. — Ale trzeba, żebyś wyszedł z

tej dziury i zasiadł do poczciwego śniadania, mój chłopcze, a raczej: mój prawdziwy Castillanie tym razem.

Dwaj nowi przyjaciele udali się do plebanii, gdzie Joanna zastawiła im smaczny i obfity posiłek. Nie małe było zdziwienie poczciwej gospodyni, gdy ujrzała siadającego do stołu nowego biesiadnika i gdy przekonała się, że tamten zniknął w sposób dla niej niepojęty.

Bliski przyjazd Cyrana stał się teraz głównym przedmiotem trosk i oczekiwań dla proboszcza.

Oczekiwał przyjaciela z radością prawie dziecięcą, którą napróżno starał się ukrywać.

Pilno mu było najpierw ucałować kochanego Bergeraca, następnie złożyć w jego ręce depozyt, który od dwóch lat nabawiał go tylu niepokojów.

II.

Przed opowiedzeniem dalszych przygód Ben Joela, oraz trzymanego w szponach tuluzańskiej sprawiedliwości Cyrana, wypada powrócić do Zilli.

Odgadłszy zbrodnicze zamiary hrabiego Rolanda, cyganka wybiegła nocą sama z Domu Cyklopa, a wzruszenie jej było niemal tak wielkie, że dochodziło niemal do obłędu.

Dokąd zmierzała?

W pierwszej chwili trudno jej było znaleść odpowiedź na to pytanie. Przybiegłszy aż do

Nowego Mostu, przebyła go krokiem prędkim, nie zatrzymując się ani na chwilę, a wiatr chłodny, wiejący od rzeki, uśmierzył cokolwiek gwałtowną gorączkę, która ją pędziła na oślep przez pogrążone w mroku ulice. Zatrzymała się przed więzieniem Chatelet i jęła rozmyślać.

Myśli jej zaczęły zwolna przychodzić do porządku; podniosła głowę z miną, wyrażającą stałe postanowienie i znów iść zaczęła.

Zilla już miała w tej chwili cel przed sobą.

Puściła się prawym brzegiem Sekwany, weszła w splątaną sieć wązkich zaułków, sąsiadujących z ulicą Św. Pawła i po pewnym czasie stanęła przed bramą pałacu hrabiego de Lembrat.

Ujęła drżącą ręką młotek i zapukała.

Hrabia Roland był w domu od godziny; prócz niego wszyscy w pałacu spali. Zilla poczekała pół minuty. Potem ujęła powtórnie ozdobną kołatkę z kutego żelaza i uderzyła nią kilkakrotnie w bramę.

Zrobił się ruch na dziedzińcu pałacowym; dały się słyszeć ciężkie kroki i jakiś szorstki głos zapytał:

— Kto tam?

— Chcę pomówić z panem de Lembrat — odrzekła Zilla niecierpliwie.

— Pan hrabia śpi. To nie pora na rozmowy.

— Raz jeszcze proszę, aby mi otworzono. Chodzi tu o sprawę wielkiej wagi.

— Ruszaj precz, włóczęgo! A nie kołataj, bo cię każę sprzątnąć pachołkom miejskim. Słyszane to rzeczy, budzić ludzi o pierwszej po północy!

Po tej przemowie odźwierny zawrócił, stukając mocno podkutem obówiem po kamieniach.

Cyganka zrozumiała, że wszelkie dalsze pokuszenia byłyby daremne.

Zresztą uspokoiła ją myśl, że przez te kilka godzin żadne niebezpieczeństwo nie będzie groziło Manuelowi.

Postanowiła nie wypuszczać hrabiego z pałacu bez pomówienia z nim i w tym zamiarze usiadła na ławce nieopodal bramy, owinęła się szalem i zapadła w półsen, szepcąc do siebie:

— Poczekam.

Noc wydała jej się długą, jak rok cały. O świcie przejął ją nawskróś chłód wilgotny i nabawił dreszczów.

Trzęsła się cała od zimna, a jednocześnie głowę miała w ogniu i ta gorączka wewnętrzna podtrzymywała sztucznie jej siły, pozwalając zapominać o bólu i znużeniu.

Weszło słońce i zastało ją na tem samem miejscu, z twarzą bladą, z okiem pełnem płomieni, drżącą ale silną i gotową do walki.

Gwar, odzywający się w różnych punktach pałacu, wskazywał, że miasto budzi się. Na końcu ulicy zjawiło się kilku przechodniów; o kilka kroków od cygangi rozległ się zgrzyt żelaza.

Otworzono bramę wjazdową pałacu hrabiego de Lembrat i wzrok Zilli przeniknął do wnętrza pańskiej siedziby, gdzie na przestronnym dziedzińcu poczynała już uwijać się służba pałacowa.

Zmuszona zachowywać ostrożność, cofnęła się o kilka kroków dalej, nie spuszczając wszakże kroku z bramy, którą miał hrabia wyjechać.

W pobliżu był już otwarty szynk. Cyganka wstąpiła do niego, aby ogrzać się, potem poprosiła o wodę, którą obmyła twarz i poprawiwszy

cokolwiek ubiór na sobie, udała się z powrotem przed pałac.

Opryskliwy odźwierny, który niedawno obszedł się z nią tak po grubiańsku, zapomniał o tem widocznie, lub też wziął za senne marzenie rzeczywiste wypadki nocy, gdyż nie okazał ani zdziwienia, ani gniewu, gdy Zilla przed nim stanęła.

Zresztą nie po raz pierwszy widział on cygankę, a z plotek lokajskich wywnioskował, że u jego pana znajduje się ona w pewnem poszanowaniu.

Nie wiedziano, jakiego rodzaju stosunki łączyły hrabiego z tą śniadą dziewczyną, pewnem jednak było, że stosunki te istniały. Wystarczyło to, aby oszczędzić cygance szorstkiej odprawy.

Zwróciła się do służącego, który podbiegł do wchodzącej i żądała w tonie prawie rozkazującym, aby ją wpuszczono do hrabiego.

— Jaśnie pan jeszcze nie wstał — zauważył lokaj.

— Proszę zawiadomić go o mojem przybyciu — nalegała Zilla.

— Obudzić pana hrabiego! O! nigdybym się na to nie odważył! Jeżli pani chce, niech zaczeka.

— Zgoda!

I cyganka, na dany znak przez służącego, poszła za nim do pałacu.

W przestronnym i pięknie przybranym przedpokoju kazano jej czekać, uprzedzając, że ma być cierpliwa.

Trzy długie jak wieczność godziny upłynęły jej na tem oczekiwaniu. Wreszcie do uszu jej dobiegł głos znajomy.

Hrabia był już na nogach, a dźwięk jego głosu wskazywał, że miota nim gniew straszny.

Po krótkiej chwili stał już przed nią. Dziewczyna nie wątpiła, że ona to była przyczyną gniewu, który widniał jeszcze we wzroku Rolanda i którego wybuchy z wnętrza pokojów pałacowych przedostawały się aż do niej.

Wstała, postąpiła kilka kroków ku niemu i nie czekając na zapytanie, rzekła tonem prawie szorstkim.

— Chcę z panem pomówić.

— O tak wczesnej godzinie? — zapytał hrabia, starając się opanować głos i nadać mu odcień żartobliwy.

— Godzina nic tu nie znaczy. Oddal pan służbę.

— Przemawiasz, moja piękna, tonem iście królewskim. O cóż to idzie?

Odprawił gestem postępujących za sobą lokajów i z miną zniecierpliwioną rzekł:

— Spieszy mi się. Mów, czego żądasz?

— Zaraz to zrobię. Przyszedłeś pan do mnie wczoraj wieczorem pod kłamliwym pozorem i zabrałeś mi przedmiot, po którego zwrot zgłaszam się właśnie. Oddaj mi go.

Powiedziane to było niedwuznacznie. Stanowczy i śmiały ton głosu cyganki nie pozwalał o tem wątpić.

Hrabia przybrał minę zdziwioną i rzekł:

— Wyrażasz się zbyt ogólnie. Przedmiot?... jaki przedmiot?... Zabrałem jedynie ze sobą list, który napisałaś do Manuela. Czy o tym liście mówisz?

— Pan dobrze wiesz, że nie!

— W takim razie zupełnie cię nie rozumiem.

— Wejdźmy do pańskiego gabinetu, panie hrabio.

— Po co?

— Aby zabrać flakonik z trucizną, który wyniosłeś wczoraj po kryjomu z mego mieszkania.

Hrabia, jakkolwiek przygotowany na te słowa, zadrżał lekko, usłyszawszy je.

Nie uszło to uwagi Zilli.

—Widzisz pan, że sprawa ta nie jest dla ciebie tak obcą, jak utrzymywałeś.

— Poprostu jestem tylko zdziwiony i gdybym posądzał cię o jakiś chwilowy obłęd, lub też ukryte wyrachowanie,mniej cierpliwie słuchałbym twych żądań i zniewag.

—Oddaj mi, o co cię proszę, jaśnie panie!

— Nie zaprzestajesz zatem swych niedorzeczności? Ależ, moja kochana — roześmiał się hrabia, którego głos stawał się łagodniejszym, w miarę, jak w głosie cyganki objawiało się silniejsze rozdrażnienie — zróbże mi tę łaskę i powiedz, w jakim celu miałbym ci zabierać truciznę? Gdybym jej zresztą potrzebował, to czyż niema w Paryżu włoskich perfumiarzy, którzyby mi jej dostarczyli?

— Być może — znalazłszy jednak pod ręką broń, która ci była potrzebna, pochwyciłeś ją pan. To było bezpieczniejsze od tamtego.

— Posłuchaj Zillo, co tobie się roi? O co mnie posądzasz?

— Posądzam pana, żeś zamierzał pozbyć się Manuela i że mnie za pośredniczkę do tego użyłeś.

— Ani mi w głowie ten tam Manuel! Gdybym chciał pozbyć się go, jak ty pleciesz niedorzecznie, nie jeden, ale tysiąc miałbym sposobów do tego. Najpierwszem i najprościejszem

byłoby dopuścić do skazania go, a ty wiesz właśnie, że pracuję nad wydobyciem go z więzienia.

Było to powiedziane tonem niezmiernie naturalnym i z pewną dobrodusznością, która zachwiała na chwilę podejrzenia Zilli.

Hrabia zauważył zrobione przez się wrażenie. Przelotny uśmiech przebiegł po jego ustach.

— Przekonałem cię nareszcie? — dorzucił, chcąc zwycięstwo swoje uczynić pewniejszem.

— Mnie można przekonać jedynie dowodami.

— Jakichże żądasz dowodów?

— Ułatw mi pan wstęp do Chatelet. Chcę pomówić z Manuelem.

—To rzecz niemożliwa.

— W takim razie oddaj mi list, który pisałam do niego wczoraj, z pańskiej namowy.

— Nie chcesz już zatem ocalić Manuela?

— Odpowiem na to później. Tymczasem proszę o list.

— Chętniebym to zrobił, — odrzekł hrabia z niezmąconym spokojem, gdyby nie to, że, na nieszczęście, albo raczej... na szczęście — bo rozsądniej traktuję twoje sprawy, niż ty sama — listu tego już nie mam.

— Gdzież on?

— W tej chwili już zapewne w rękach Manuela, któremu poleciłem go oddać.

— Kiedy?

— Dziś rano.

— Fałsz! — wykrzyknęła Zilla — Przepędziłam noc przed bramą pańskiego pałacu — nie wyszła ztamtąd ani jedna osoba.

Hrabia uczynił szybki ruch zniecierpliwienia i gniewu. Powściągnął go jednak w tejże

chwili. Musiał oszczędzać Zillę. Jedno jej słowo mogłoby, jeżeli nie zgubić go, to przynajmniej podać w silne podejrzenie.

—Jesteś kobietą — rzekł, opanowując wzruszenie — przebaczam ci zatem zuchwalstwo, z jakiem śmiesz mnie kłamcą czynić. Jednak upewniam cię, Zillo, że nie ma nic prawdziwszego nad to, com ci powiedział. Przyszłość pokaże ci, jak bardzo błądziłaś, mając mnie w podejrzeniu. A teraz żegnam cię. Obowiązek powołuje mnie do Luwru.

Pożegnał Zillę ruchem ręki, przeszedł koło niej i zniknął, pozostawiając odurzoną i bezradną na środku wielkiej izby przedpokojowej.

Prawie w tejże chwili pięciu, czy sześciu lokajów wbiegło do przedpokoju i Zilla zrozumiała, że nie ma tu już nic do czynienia.

— Ten człowiek oszukuje mnie — myślała, odchodząc. — Ale moja silna wola odniesie nad nim zwycięstwo. Manuel będzie ostrzeżony o zastawionej na niego pułapce.

Co się tyczy Rolanda, odwiedziny Zilli nie zachwiały w niczem w jego postanowień. Miał on w rękach list cyganki, przed którą skłamał, że posłany był Manuelowi. Jeżeli nie oddał go Zilli, jakkolwiek, z chwilą zdobycia flakoniku z trucizną, był mu już niepotrzebny, uczynił to dla tego jedynie, aby oszczędzić cygankę i odegrać rolę swoją do końca.

Zilla udała się do Chatelet. Powzięła ona zamiar zwrócenia się do prześwietnego Jana de Lamothe z prośbą o dopuszczenie jej do więzienia. Woźny wprowadził ją, nie bez pewnych trudności przed oblicze starosty.

Ten ostatni przyjął cygankę z miną surową.

W jego oczach Zilla była wpólniczką mniemanej zbrodni Manuela i wolność swoją zawdzięczała jedynie wspaniałomyślności hrabiego.

Sam on, co prawda, uważał za wystarczające wynagrodzenie popełnionej winy zeznania, złożone przez Ben Joela i Zillę, w głębi serca jednak nie mógł pozbyć się szlachetnego wstrętu względem tych przestępców, przekształconych w donosicieli i świadków oskarżających. Czcigodny Jan de Lamothe z wielką łatwością dał się wywieść w pole Rolandowi i jego sojusznikom, i z zupełnie dobrą wiarą poświęcał swój czas i zdolności rozpatrywaniu sprawy Manuela.

Zilla nie stropiła się srogą miną starosty; miłość dla Manuela czyniła ją zdolną, do wszystkich poniżeń i do wszystkich poświęceń.

Zbliżyła się do dużego stołu, założonego aktami, za którym królował Jan de Lamothe, i głosem spokojnym, powolnym, zapytała:

— Czy pan mnie poznaje?

— Bezwątpienia. Czy przybywasz, aby mi złożyć jakie nowe zeznanie, dotyczące wiadomej sprawy?

— Nie. Przybywam w celu proszenia o przysługę.

— Jaką?

— O pozwolenie widzenia się z Manuelem.

— Co? —zadziwił się przedstawiciel sprawiedliwości. — Chyba nie mówisz tego poważnie.

— Pan posiada możność udzielenia mi tej łaski.

— Tak, lecz ty nie posiadasz prawa żądania jej.

Zilla podniosła głowę.

— I dlaczegóż to? — spytała.

— Jesteś zbyt ciekawą. Czyż trzeba ci mówić, że nie jestem zupełnie jeszcze pewnym twego nawrócenia i że nie mogę nastręczać ci sposobności porozumienia się z oskarżonym.

— I cóż ja mogę przedstawiać groźnego dla sądu?

-- Czyż ja mogę wiedzieć? Odejdź w pokoju dziewczyno i nie grzesz więcej.

— Błagam pana, wysłuchaj mnie. Idzie tu może o życie Manuela! Pozwól mi widzieć się z nim!

— Tracisz czas daremnie.

— Pozwól przynajmniej napisać do niego.

— Dość już. Nie mam czasu na rozmowy z tobą. Łzy twoje wcale mnie nie wzruszą. Gdy powiem: nie — to nie. Bądź o tem najmocnie przekonaną.

Starosta zadzwonił.

Zjawił się woźny.

— Jeżeli ta kobieta — rzekł doń, wskazując Zillę — jeszcze raz zjawi się tu, nie puszczać jej.

W tejże chwili powstał, i ponawiając scenę, która odegrała się niedawno w pałacu Lembrat, otworzył drzwi w głębi komnaty i zniknął.

Z piersi Zilli wyrwał się okrzyk gniewu i oburzenia. Chciała wszystko wyjawić, wyznać całą prawdę, tymczasem wcale słuchać jej nie chciano.

Nadzieja, którą łudziła się, idąc najpierw do hrabiego, następnie do starosty, zgasła już w jej sercu na zawsze.

Siostra Ben Joela zrozumiała, że odtąd już tylko na siebie samą liczyć może.

W tej chwili napół nieprzytomna od znużenia, gorączki i strapień moralnych, miała straszne widzenie.

Ujrzała Manuela, wijącego się z bólu na kamiennej posadzce więzienia. Wypił truciznę, którą wlała mu do napoju ręka, przekupiona przez hrabiego i umierał, przeklinając Zillę.

— Nie, tego nie będzie! — zawołała, przecierając oczy. Ja nie chcę tego. Ja do tego nie dopuszczę!

I nie wiedząc jeszcze, w jaki sposób weźmie się do dzieła, aby odsunąć zbliżające się niebezpieczeństwo, znalazła się z powrotem na tych samych szerokich schodach, wiodących do starosty, na które wstępowała przed chwilą, tak pełna otuchy.

Kilka kroków tylko dzieliło ją od furty więziennej.

Łucznicy starościńscy nie zaniedbali uczęstować jej w przejściu kilkoma zalotnemi żarcikami; lecz podniosła na nich oczy tak pełne wyniosłej dumy, a zarazem niezmiernego smutku, że niebawem zamilkli.

Postała przez chwilę w zamyśleniu przy okutej żelazem furcie, którą jedno słowo czcigodnego de Lamothe mogło było przed nią odemknąć i pomysł prawdziwie szalony przyszedł jej nagle do głowy.

— A gdybym zgodziła się za sługę do dozorcy więziennego? — pomyślała.

Gorzki uśmiech wykrzywił jej usta. Zrozumiała od razu niewykonalność tego zamiaru.

Trzeba było wynaleść coś lepszego. I wówczas, jakkolwiek z bólem śmiertelnym w sercu, cyganka wyprostowała swą smukłą postać, przywołała na twarz wyraz sztucznego ożywienia i, podszedłszy do grupy próżniaków, którzy od kilku chwil przyglądali się jej ciekawie, jęła nucić jakąś piosenkę wesołą.

W mgnieniu oka otoczono ją. Starościńscy łucznicy, opuściwszy ławę, przyłączyli się do ciekawych, w ślad za nimi zjawiło się kilku pachołków, stanowiących przyboczną służbę dozorcy.

Na tych ostatnich zwróciła Zilla szczególną uwagę. Jeden z nich był bardzo młody i widocznie ze służbą, którą pełnił, niedostatecznie jeszcze obeznany, twarz jego bowiem miała wyraz otwartości i wewnętrznej pogody.

Ciężka atmosfera więzienia nie zmroczyła dotąd jego czoła, a obraz nędzy ludzkiej nie zgasił jeszcze blasku jego źrenic.

Zilla zbliżyła się nieznacznie do niego. Jakieś przeczucie tajemne wskazało jej, żeby szukała pomocy u tego młodzieńca, który niedawno dopiero przestał być chłopięciem.

Przestała śpiewać, i ujmując rękę jednego z łuczników, spytała:

— Czy chcesz pan poznać swoją przyszłość? Odczytać ją mogę z linii, znajdujących się na pańskiej dłoni.

Łucznik cofnął rękę, przestraszony nieco tą niespodzianą propozycyą. Drwiący śmiech ozwał się w grupie widzów.

— Tchórz! — ozwał się jakiś głos.

Cyganka nie nalegała. Wzrok jej pytający obiegł zgromadzenie i dziesiątek rąk zaraz do niej wyciągnięto.

Odgrywała przez jakiś czas rolę wróżki, której ją od dzieciństwa wyuczono, a gdy wyróżniony przez nią młodzieniec zdawał się wahać z żądaniem wróżby, uśmiechnęła się doń i dała mu znak, aby się przybliżył.

Usłuchał bez namysłu i otwartą dłoń podał dziewczynie. Zilla dotknęła palcem "linii życia",

a jednocześnie swój wzrok płomienny zatopiła w oczach młodzieńca.

— Szczęśliwy chłopiec — rzekła głosem tajemniczym. — Kocha.. i jest kochany.

To odkrycie, łatwe do zrobienia, gdy pytający jest przystojnym, dwudziestoletnim chłopcem, wywołało silny rumieniec na twarzy sługi więziennego.

— I... — szepnął — wiesz pani, że...

Nie dokończył. Obawiał się może powiedzieć za wiele i chciał pozostawić Zilli odgadnięcie wszystkich tajemnic swego serca.

— To, co mam wyjawić — rzekła tajemniczo — może być wysłuchane tylko przez pana samego.

III.

Tłum rozstąpił się przed cyganką.

Nie puszczała ona ręki młodego sługi, którego odciągnęła o kilkanaście kroków ztamtąd.

— Jak się pan nazywasz? — zapytała wówczas.

— Johann Mueller — odpowiedział.

— Posłuchaj mnie, panie Johann. Jesteś młody, zakochany, a łagodny wyraz pańskiej twarzy wskazuje mi, że masz serce dobre i czułe na cudzą niedolę.

— Dlaczego pani mówi mi o tem? — szepnął młodzieniec, zdziwiony tonem, jakim słowa te zostały wypowiedziane.

— Dlatego, że potrzebuję pańskiej pomocy i że od pierwszego spojrzenia odgadłam, że prośby mej wysłuchasz.

— Tej, co odgadła tak szybko, że kocham, i która mi zwiastowała radosną wieść, że jestem kochany, nie odmówię niczego, jeśli tylko żądanie jej będzie możliwe do spełnienia.

— Dziękuję ci, dobre dziecko — rzekła Zilla.

I ręka jej ścisnęła silniej dłoń młodzieńca, a oczy błyszczące rozrzewnieniem i wdzięcznością podniosły się na twarz jego.

— Spojrzyj pan na ten grób olbrzymi — ciągnęła, wskazując ręką wysokie mury więzienia. — Zamyka on w sobie co mam na świecie najdroższego, gdyż i ja również kocham, a ukochany mój może życie postrada w tem zamknięciu.

Cudownym instynktem, właściwym kobietom, Zilla odgadła, że na tę duszę czułą i szlachetną, która wyzierała z oczu chłopca, silniej oddziała głos szerszego uczucia, niż pospolita zalotność lub przekupstwo.

Mogła była ofiarować mu pieniądze —wolała zawierzyć poczciwym instynktom młodzieńca, zrobić go powiernikiem swych tajemnic sercowych, zająć go swym losem i potrącić w jego duszy struny delikatniejsze, niż samolubstwo i chęć zysku.

Patrzył na nią zdziwiony, lecz nie przerażony zbytecznie tym wstępem, który jednak pozwalał mu zgadywać, że Zilla zamierza prosić go o coś, co może narazić jego stanowisko, a przynajmniej pozbawić go spokojności.

Twarz cyganki promieniała wyrazem tak gorącej nadziei, że nie miał odwagi nakazać jej milczenia, lub też opuścić jej poprostu.

— O kim chcesz pani mówić? — spytał wreszcie, rzuciwszy dokoła szybkie spojrzenie, aby upewnić się, że nikt słyszeć go nie może.

— Słyszałeś pan zapewne o młodzieńcu, którego oskarżają o przywłaszczenie sobie cudzego nazwiska i tytułu?

— Czy nie nazywa się on przypadkiem Manuel? — przerwał Johann.

— Tak właśnie. Czy go pan znasz?

— O tyle, o ile można znać więźnia, którego się widziało przy świetle latarni, w ciemnościach więziennego lochu.

— Biedny Manuel, cierpi bardzo, nieprawdaż?

— Jeśli cierpi, cierpień swych nie ujawnia. Nigdym nie słyszał, aby się skarżył.

Johann, powiedziawszy to, poruszył się niespokojnie i dodał:

— Ale, przepraszam panią, już pora wracać do Chatelet i jeśli to o tego Manuela chodzi pani, tom powiedział już wszystko, co mi o nim było wiadomem.

Powiedziawszy to, wyciągnął z kieszeni mały, srebrny pieniążek, i chciał go wcisnąć w rękę cyganki.

Zilla odsunęła łagodnie jego rękę.

— Jeszcze chwiłkę — rzekła. — Ja nie powiedziałam jeszcze wszystkiego. I jeżeli od pana nic już więcej dowiedzieć się nie mogę, prosić go będę w zamian za to o jedną wielką łaskę.

— Powiedziałem już, że będę szczęśliwy, mogąc się przysłużyć pani czemkolwiek. Proszę jednak mówić prędko, gdyż jeśli dozorca zobaczy, że rozmawiam z panią, nie minie mnie kara.

— Nie! Bóg uchroni pana od tego gdyż jesteś

dobry i zacny. Temu Manuelowi, którego znasz i którego ja kocham, zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Ma on potężnych wrogów. Przypomnij pan sobie; czy nie zdarzyło mu się coś niezwykłego?

— Odkąd?

— Odkąd przebywa w Chatelet. Zwłaszcza od dzisiejszego ranka.

— Nie, nic mu się nie zdarzyło. Odwiedzał go tylko starosta, w celu indagacyi, oraz pewien szlachcic, który miał upoważnienie do widzenia się z nim. Po za tem, nie przypominam sobie nic godnego uwagi.

— A ten szlachcic?... Czy przychodził wczoraj wieczorem?

— Nie!

Zilla odetchnęła.

— Poczekaj pani — dodał prawie natychmiast Johann. — Omyliłem się, mówiąc, że odwiedzali więźnia tylko starosta i szlachcic...

— Któż był więcej? — spytała z gorączkową niecierpliwością cyganka.

— Człowiek jakiś, który przed chwilą przybył do Chatelet — służący, jak się zdaje...

— Czego chciał ten człowiek?

— Przyniósł dla więźnia posiłek.

— Posiłek! — wykrzyknęła Zilla, bledniejąc.

— Tak. Widocznie jakaś poczciwa dusza użaliła się nad dolą tego Manuela i, wiedząc, jak nędznie żywią więźniów, zapragnęła pożywić go czemś smaczniejszem.

— A! wszystko, wszystko stracone! — wykrzyknęła Zilla z najwyższą boleścią, załamując ręce ruchem rozpaczliwym. — W ciągu tego czasu, który ja zmarnowałem bez pożytku u sta-

rosty, nędznik doprowadził swój zamiar zbrodniczy do skutku.

Dla Johanna ten nagły wybuch boleści był zgoła niezrozumiały. Starał się on daremnie uspokoić Zillę. Nie słuchała go. Straszne widzenie, które przeraziło ją przed godziną tam, w izbie starosty, znów stanęło jej przed oczyma i z zatrzymanym w piersiach oddechem, z nieru chomą źrenicą, całą duszą w niem zatonęła.

Wreszcie wróciła jej świadomość rzeczywistości.

— Johannie! — przemówiła z trudnością — ja muszę go ocalić, słyszysz, muszę! Ale trzeba koniecznie, abyś ty mi do tego dopomógł.

— Czego się pani obawia?

— Aby nie uśmiercono Manuela. Przysięgam ci wdzięczność dozgonną, zacny chłopcze, jeżeli usuniesz grożące mu niebezpieczeństwo. Stanę się twoją niewolnicą; należeć będę do ciebie, jak pies do swego pana...

— Cóż trzeba czynić? — zapytał Johann, porwany tonem tego przemówienia.

Zdjęła z ręki srebrną bransoletę i ostrzem małego sztylecika, nakreśliła na niej kilka znaków, niezrozumiałych dla Johanna i dla innych, ale które Manuelowi, obeznanemu z hieroglifami cygańskiemi, mówiły wyraźnie o zamierzonym zamachu na jego życie i o potrzebie jak największej ostrożności.

Zaledwie skończyła to niezwykłe pisanie, młody sługa podjął na nowo.

— Co trzeba czynić?

— Doręczyć to więźniowi — odrzekła, podając branzoletę — ale doręczyć nie jutro, nie dziś nawet wieczorem, ale natychmiast.

"Boże — pomyślała z boleścią — żyjeż on aby jeszcze?"

Johann wziął branzoletę; jednak zdawał się namyślać.

— Nie jestem pewny — rzekł nieśmiało — czy będę mógł zrobić to tak prędko, jak pani pragnie. Schodzę do lochów dopiero około południa.

— Idź jak najśpieszniej biegnij, pędź! Bóg da ci natchnienie i Bóg ci dopomoże!

Młodzieniec odszedł.

— Czekać będę na ciebie! —zawołała za nim.

— Powracaj aby powiedzieć mi wszystko nawet najstraszniejszą wieść, której się obawiam!

I złamana zarówno ciałem, jak duszą, upadła na bruk, podczas gdy Johann podążał szybkim krokiem do gmachu więziennego.

Gdy zniknął jej z oczu, zatonęła w tej mglistej otchłani marzeń niejasnych, a dręczących, które tyle ucisku wewnętrznego sprawiają, gdy czyje życie wisi na włosku i gdy jedna chwila stanowi o śmierci lub ocaleniu.

Przez długi czas nie wychodziła z tego odrętwienia, obojętna zarówno na współczucie, jak i na urąganie przechodniów.

Jedną tylko rzecz widziała przed sobą: wielką, groźną, w dziwaczne linie powyginaną bryłę gmachu więziennego, która wykreślała się twardo na ciemniejącem stopniowo niebie.

Po pewnym czasie, ta bryła stała się już tylko plamą, a plama ta zlała się w jedno z całkowicie już ciemnem tłem nieba, poczem jasny, srebrzysty promień oświetlił szczyty murów.

Zapadła już noc, a Zilla wciąż oczekiwała.

Spędziła pół dnia na twardych kamieniach ulicy, zatopiona w myślach i nieruchoma, chwi-

lami tylko budząc się z odrętwienia, aby podnieść głowę i zobaczyć, czy Johann nie powraca.

Ale nikt się nie zjawiał.

Noc stawała się coraz ciemniejsza i cichsza; w pobliżu ozwała się grzechotka nocnego stróża, wzywającego do gaszenia światła i Zilla musiała wyrzec się nadziei otrzymania wiadomości, od której szczęście całego jej życia zawisło.

Wszystkie sprężyny jej duszy zaczęły się rozhartowywać i rozluźniać. Podniosła ręce do piersi, którą przeszywał ból ostry, a gdy chciała podnieść się, uczuła nagły zawrót głowy i ponownie upadła na ziemię.

Ta krzepka, wytrwała cyganka została nareszcie pokonana. Nie pokonały jej wzruszenia, nie pokonała boleść, zwycięstwo odniosła nad nią natura. Uczuła głód i despotyczna władza potrzeb fizycznych, zmuszająca do zajmowania się sobą tych nawet, co innym życieby oddać chcieli, zwróciła chwilowo myśli jej w inną stronę.

Od poprzedniego wieczora Zilla nic w ustach nie miała. Ostatnim wysiłkiem podniosła się z miejsca i wspierając się o mury kamienic, które chwilami zdawały się z pod ręki jej usuwać, zwróciła kroki ku Domowi Cyklopa.

— A skądże to, panienko powracasz? — powitała ją stara odźwierna, ujrzawszy taką bladą i wynędzniałą i chwiejącą się na nogach.

— Cóż to za nieszczęście przytrafiło się panience?

Cyganka nic na pytanie to nie odpowiedziała i zebrała resztę sił, aby przebyć spadziste schody, wiodące do jej mieszkania. Spodziewała się,

że wypocząwszy cokolwiek, i posiliwszy się, odzyska siły i będzie mogła stanąć do walki z tem samem, co poprzedniego dnia męstwem i z tą samą dzielnością.

Była to złudna, niestety, nadzieja. Zilla odzyskała wprawdzie nieco sił, ale dreszcze poczęły wstrząsać jej ciałem. Te dreszcze były z początku powierzchowne, później jednak przeniknęły do środka i zlodowaciły ją całą.

Rzuciła się na łóżko, nakryła całym stosem kołder i odzieży i zamknęła oczy, licząc na to, że sen sprowadzi jej zapomnienie a więc i ulgę.

Cios jednak, który otrzymała był zbyt głęboki, aby dać jej mógł choć chwilę spokoju.

Przez całą noc rzucała się na pościeli, dręczona nieopisanem cierpieniem.

Równocześnie z temi zapasami ciała z ogarniającą ją słabością, straszniejszą jeszcze walkę toczyła jej dusza.

Zilla myślała, że miłość skłoniła ją do popełnienia wielkiego błędu; dla ocalenia tej miłości, dla dogodzenia własnemu tylko szczęściu, przyczyniła się ona do uwięzienia Manuela — a kto wie, czy nie stanie się nawet przyczyną jego śmierci.

Czyż namiętność, choćby najsilniejsza i najgłębsza, jest w stanie usprawiedliwić taki postępek?

Zamiast szukać hrabiego, zamiast próbować zmiękczyć kamienne serce starosty, zamiast jednem słowem, chwytać się środków zawodnych i upokarzających, Zilla mogła wystąpić do jawnej walki, uzbrojona przekonywającym dowodem i ogłosić przed światem śmiało i z podniesionem czołem niewinność Manuela. Wszakże posiadała

księgę Ben Joela, a przynajmniej wiedziała, gdzie jej szukać i na której karcie znaleść dowód, ocalający ukochanego.

Ale chwycić się tego środka, znaczyło: wyrzec się na zawsze Manuela, zwracając mu jego właściwe imię, tytuły i stanowisko, a egoizm Zilli, egoizm każdej kobiety zakochanej nie pozwalał jej zdobyć się na tak wielką ofiarę. Teraz widziała już jasno, że jej namysły i wahania się pozwoliły Rolandowi zabrać się swobodnie do dzieła i rozwinąć jak najszerzej swój plan nikczemny.

— Jeśli Manuel nie żyje — powiedziała sobie — to ja go zamordowałam!

Ta straszna myśl okropnem brzemieniem uciskała jej duszę. Napróżno usiłowała bronić siebie samej przed oskarżającym głosem sumienia — nie udawało się jej to zgoła. Przygniatała ją logika faktów.

— Stało się! — wykrzyknęła wreszcie na głos, jakby całe grono sędziów miało usłyszeć jej rozpaczliwe wyznanie — Manuel będzie żył, żyć musi! Zniweczę zdradzieckie dzieło Rolanda, powrócę Ludwikowi de Lembrat nazwisko i majątek jego ojca, oraz miłość tej, która w jego sercu zajęła miejsce przedemną.

Blask poranny rozjaśnił wielkie, szklane "oko Cyklopa", które oświetlało komnatę cyganki.

Postanowiła nie zwlekać dłużej z wykonaniem swego postanowienia.

Z trudnością otworzyła powieki i usiłowała podnieść się z łóżka, na które rzuciła ją niemoc i cierpienie.

Głowa ciężyła jej jak z ołowiu. Mimo wysiłku musiała opuścić ją ponownie na poduszkę, a je-

Jednocześnie pulsa w jej skroniach zaczęły uderzać gwałtownie. Doznała uczucia, jakby obręcz żelazna ściskała jej głowę i jakby w oczach miała gorące zarzewie.

Powieki jej zamknęły się ponownie.

Postanowiła przeczekać paroksyzm.

Jakiś lęk dziwny trzymał ją w miejscu, nie pozwalając poruszyć się. Obawiała się, że najlżejszy ruch sprowadzi nowy napad choroby, która ją torturowała.

Jednak w tem ciele złamanem czuwała jeszcze dusza i dusza ta mówiła ciału, aby podniosło się i szło pełnić swą powinność. Cyganka porwała się z łóżka i jednym skokiem stanęła na nogach.

W tejże chwili wydało się jej, że jakiś cios gwałtowny uderzył ją w same czoło.

Przez chwilę stała w miejscu, jak ogłuszona piorunem; potem wyciągnęła przed sobą ramiona i chciała dojść, lub choćby dowlec się do miejsca, gdzie była zamknięta księga Ben Joela.

Był to ostatni już wysiłek...

Zilla uczuła się pochwyconą przez jakiś wir zawrotny, przestała widzieć, przestała słyszeć i upadła ciężko na podłogę, wydając jęk stłumiony.

Gdy stara odźwierna Domu Cyklopa usłyszała, że bije południe, zdziwiło ją, że nie widzi dotąd wychodzącej ze swego mieszkania Zilli.

Minionej nocy uderzył ją wyraz cierpienia w pobladłej twarzy cyganki. Jakkolwiek nie odznaczająca się bynajmniej sercem czułem, zaniepokoiła się i poszła na górę, aby dowiedzieć się o zdrowiu swojej mieszkanki.

Zilla wciąż jeszcze leżała na podłodze, nieruchoma i nieprzytomna.

Starucha dotknęła jej rąk i czoła. Ręce były lodowate, czoło rozpalone.

Z energią, której nie łatwo było pomyśleć się w niej, poźdwignęła cygankę obiemi rękoma i zaniosła, a raczej zaciągnęła na łóżko.

Potem pobiegła po dzbanek z wodą i sądząc, że to proste zemdlenie, skropiła obficie twarz Zilli.

Po tym zimnym, kroplistym deszczu, chora wsrząsnęła się febrycznie, ale nie oworzyła ani oczu, ani ust.

Odźwierna, nie żartem już przestraszona, zbiegła na dół wzywając pomocy.

Niebawem zjawił się lekarz, którego sprowadzili cyganie, znajdujący się w izbie noclegowej. Z trudnością przywołał on Zillę do przytomności.

Odzyskała ją wszakże na krótko, gdyż nowy napad gorączki zmógł ostatek jej energii. Wpadła w malignę i lekarz oświadczył, że obawia się o jej życie.

Trzeba było czuwać bez przerwy przy chorej. W nieobecności Ben Joela, podjęła się tego odźwierna.

W tymże czasie, Johann Mueller, wierny danemu przyrzeczeniu, wyczekiwał powrotu Zilli, aby zdać jej sprawę z tego, co zaszło w więzieniu. Poprzedniego dnia obowiązek służby trzymał go na miejscu, nie pozwalając ruszyć się krokiem z więzienia.

Znużyło go wreszcie to długie oczekiwanie i postanowił wrócić do domu, dziwiąc się szczególnemu postępowaniu dziewczyny, która objawiała naprzemian tak wielką troskliwość i tak wielki brak pamięci.

Szczegóły dostarczone Zilli przez młodego strażnika więziennego były najzupełniej dokładne.

Aż do tego dnia, w celi Manuela nie pojawił się nikt zgoła, prócz hrabiego Rolanda, który przybył tam w wiadomych nam okolicznościach, oraz prześwietnego starosty Jana de Lamothe.

Czas upływał więźniowi bez trwogi, choć i bez nadziei; czuł się tak przygnieciony świadomością nieuniknionego nieszczęścia, że nie był w stanie o losie swym rozmyślać.

Jednostajny żywot więźnia urozmaiciły jedynie codzienne odwiedziny dozorcy, który przynosił zwykłą porcyę chleba i wody.

W godzinę po bytności Zilli u hrabiego i w tym właśnie czasie, gdy próbowała ona bezskutecznie uzyskać żądaną łaskę u starosty, jakiś człowiek, nigdy tam przedtem nie widywany, przybył do Chatelet.

Człowiek ten okazał odźwiernemu i dozorcy kartę, wydaną hrabiemu Rolandowi przez starostę, poczem puszczono go bezzwłocznie do środka.

Miał on z sobą koszyk, a w nim dwie butelki wina, świeży chleb i pasztet.

Wprowadzono go bez żadnych trudności do celi Manuela, z którym pozostał sam na sam.

Zbyteczne byłoby nadmieniać, że był to wysłaniec hrabiego Rolanda.

Otrzymał on od swego pana wskazówki, jak najbardziej szczegółowe i tego rodzaju, że nie dopuszczały żadnych podejrzeń.

W chwili, gdy ten człowiek wszedł do Manuela, młodzieniec, według zwyczaju, siedział zatopiony w myślach. Na wchodzącego nie zwrócił on żadnej uwagi, nie odwrócił nawet głowy, u-

słyszawszy otwierane w niezwykłej godzinie drzwi.

Po kilku chwilach jednak, gdy przybysz stał wciąż przed nim, Manuel podniósł oczy i jął przyglądać się mu, o ile pozwalała na to ciemność, panująca w podziemiu.

— Czego pan chce odemnie? — zapytał wreszcie.

— Osoba, którą los pana obchodzi — odrzekł wysłaniec hrabiego — poleciła mi doręczyć to panu.

Przy tych słowach postawił na ziemi, tuż przy Manuelu swój koszyk i dodał:

— Jutro rano i dni następnych zapasy te będą zastępowane świeżemi. Starosta raczył łaskawie zezwolić na to.

— Czy ta posyłka pochodzi od hrabiego de Lembrat?

— Nie, panie — zapewnił służący, odpowiednio pouczony.

— Od Cyrana?

— Nie. Proszę nie dopytywać nadaremnie. Osoba, która to przysyła, pragnie pozostać nieznaną.

Nagła myśl przebiegła przez głowę Manuela.

— Czyżby Gilberta? — pomyślał.

I pilniej jął wpatrywać się w posłańca, którego twarz była mu zresztą najzupełniej obcą.

— Na cóż ta tajemnica? — zauważył. — Wyjawiając mi imię tego lub tej, co o mnie pamięta, cóż pan ryzykuje? Czy to dama?

— Być może. Powtarzam jednak, niech pan nie żąda odemnie, abym powiedział, czego mi mówić nie wolno. Żegnam pana. Do jutra. Nie

będzie panu odtąd zbywało na niczem, co może złagodzić przykry pobyt w więzieniu.

Gdy Manuel ujrzał się znów sam, próbował rozwiązać zagadkę.

— Któż to mógł o nim pamiętać?

Bezwątpienia Cyrano. Ale czyż nie oświadczono mu wyraźnie, że szlachetny poeta nie miał żadnego w tej sprawie udziału?

Gilberta? Przez chwilę myślał o niej, a tajemniczość, którą otaczał się posłaniec, mogła była z łatwością usprawiedliwić to przypuszczenie — teraz jednak, gdy rozważył wszystko na zimno, zrozumiał, że było to najzupełniej niemożliwe.

Gilberta była zbyt pilnie strzeżona i zbyt lękała się surowego ojca, aby mogła się odważyć na tego rodzaju dowód pamięci i życzliwości.

Pozostała Zilla. Manuel wiedział, że jest winna, podejrzywał, że zazdrosna. Jednak nie mógł zaprzeczyć, że zdolna byłaby do czynu szlachetnego, zwłaszcza, gdyby dopomagał on jej pośrednio do osiągnięcia celów egoistycznych.

Manuel, którego zresztą objaśniły o tem słowa Ben Joela, był w prawie zawierzyć życzliwości Zilli, i jeśli nie było już dlań tajemnicą, dlaczego cyganka przyczyniła się do jego zguby, łatwo też pojmował, z jakich pobudek mogłaby starać się o ulżenie mu ciężkiej niedoli.

Wogóle chciał on rozwiązać w ten sposób, lub inny, tajemnicę zagadkowej przesyłki i w braku innego do niej klucza, zatrzymał się na otatniem przypuszczeniu, przypisując doznaną uprzejmość zakochanej cygance.

Zdjęła go również ciekawość zajrzeć do koszyka, gdzie pomiędzy przysmakami spodziewał

się znaleść starannie ukryty liścik, a w tym liściku ostateczne wyjaśnienie wszystkiego.

Rozłamał chleb, przetrząsnął cały koszyk i nic nie znalazł. Hrabia powstrzymał się przezornie od dołączenia listu Zilli.

Wówczas zawiedziony, prawie gniewny, odsunął z niechęcią pożywienie, które zresztą, mimo zachęcającego pozoru, wcale go nie nęciło.

Około południa jednak, gdy nadeszła zwykła godzina posiłku, wyciąnął rękę po ten chleb biały i pachnący, który mógł mu zastąpić miejsce zapleśniałego razowca więziennego, ułamał kawałek i zjadł.

Następnie zabrał się do pasztetu, którego połknął już kilka kęsów, gdy wtem drzwi do celi ponownie się otworzyły.

Wszedł Johann Mueller.

Przynosił on więźniowi chleb i wodę.

Młody strażnik postawił latarnię swą na wystającym kamieniu, pożywienie umieścił na ławie, w pobliżu więźnia i rzekł:

— Dzień dobry panu. Widzę z przyjemnością, że pan nie potrzebował czekać na mnie z obiadem.

— Dziękuję ci, przyjacielu — odrzekł Manuel ze smutnym uśmiechem — Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, komu zawdzięczam...

— Nie wiem. Ale czy pan to zna?...

Ujął latarnię i przy jej świetle zabłysnął przed oczyma srebrną bransoletą Zilli.

Z łatwem do pojęcia zdziwieniem radośnem młodzieniec pochwycił klejnot, który zresztą znany był mu doskonale.

Ta bransoleta zdawała się potwierdzać wszystkie jego przypuszczenia.

— A więc tak, to Zilla — rzekł do siebie na głos.

— Jest tam coś napisane — objaśnił strażnik. — Niech pan czyta prędko i jeżeli mogę być panu w czem użyteczny...

Wówczas dopiero Manuel dojrzał znaki, nakreślone na srebrnej obrączce.

Odczytał je bez trudności, zbladł cokolwiek i szepnął:

— Jeśli to prawda, jestem zgubiony.

— Co panu — zapytał Johann.

— Nic... nic mi nie jest — rzekł więzień, odczytując raz jeszcze pismo cyganki.

W piśmie tem znajdowały się rzeczy przerażające.

Zilla uprzedzała Manuela, aby się miał na ostrożności, donosiła mu o skradzionej przez hrabiego truciźnie i błagała, aby nie dotykał jedzenia, które tego rana przyniesie mu służący Rolanda.

Otóż właśnie jedzenia tego Manuel już skosztował.

— Jestem zbugiony — powtórzył.

Jednak nie odczuwał jeszcze żadnych cierpień, trucizna zaś, o której mu donoszono, działała piorunująco.

Oczy jego padły wówczas na koszyk, w którym spoczywały nietknięte jeszcze dwie butelki wina.

Wziął jedną, utrącił szyjkę o kamień, umaczał w płynie palec i dotknął nim warg.

Uczuł natychmiast jakby sparzenie i cisnął daleko od siebie butelkę, która rozbiła się na kamiennej posadzce.

Zaraz potem pochwycił dzbanek i napił się wody.

Johann przyglądał się temu wszystkiemu z niezmiernem zdziwieniem i ciekawością.

— Co się tu dzieje?- ośmielił się wreszcie zapytać.

— Nic wielkiego! — zaśmiał się gorzko więzień. — Stwierdzono raz jeszcze, mój przyjacielu, że jestem w samej rzeczy wicehrabią Ludwikiem de Lembrat. Proszę cię, powtórz to człowiekowi, który przychodził tu dziś rano i niech słowa te zaniesie swemu panu. Będzie to dostateczne, aby tu już więcej noga jego nie postała. A co do ciebie, bądź pewny, że nie zapomnę do końca życia przysługi, jaką mi wyświadczyłeś, przynosząc mi bransoletę.

— To była przysługa?

— Ocaliłeś mi po prostu życie.

— Więc to wino...

— Zachowaj to wszystko w najgłębszej tajemnicy. Poprzestań jedynie na wypełnieniu zlecenia, które ci daję. Później być może zażądam twego świadectwa. A gdy wydostanę się na wolność, bo mam nadzieję, że to prędzej lub później nastąpi, potrafię wynagrodzić ci okazaną mi życzliwość.

Po odejściu strażnika, Manuel wyjął z kosza pozostałą butelkę i ukrył ją w kącie swej celi.

Następnego dnia poseł hrabiego de Lembrat przybył do Chatelet — z próżnemi rękoma.

"Przybywał po to tylko — oświadczył niepytany — aby dowiedzieć się, co słychać nowego."

Odpowiedzi na to pytanie udzielił mu Johann, wedle wskazówek otrzymanych od Manuela.

Człowiek ten, który naturalnie o niczem nie wiedział, zaniósł ją z kolei swemu panu

Hrabia wydał pomruk wściekłego gniewu.

— Wymieniłeś zatem przed więźniem moje nazwisko? — zapytał.

— Bynajmniej. Jaśnie pan zabronił mi tego surowo.

— Jakże więc... Ale dość. Idź precz!

Służący przerażony straszną miną Rolanda, spełnił czemprędzej ten rozkaz.

— Któż to mnie zdradził? — zadał sobie pytanie hrabia, pozostawszy sam. Manuel żyje i z głębi swego podziemia wygraża mi. Jutro, być może, oskarży mnie. Wielki już czas położyć koniec przewlekłej procedurze sądów starościńskich.

Zadzwonił gwałtownie, kazał zaprzęgać do karety i udał się do prześwietnego Jana de Lamothe.

———

IV.

Wszystkie te wypadki odbyły się w tym czasie, gdy Cyrano więziony był w Tuluzie, gdy Castillan upędzał się po gościńcach i gdy Ben Joel dokonywał zamachu na dokument, powierzony czujności proboszcza — zamachu, który, jak wiemy, całkowicie się nie udał.

Gdy cygan, szczęśliwy, że wywinął się bez szwanku z groźnego uścisku księdza Jakóba, znalazł się już dość daleko, aby czuć się bezpiecznym, usiadł nad drogą i jął rozmyślać nad swem położeniem.

Nie przedstawiało się ono w tej chwili wesoło.

Przedewszystkiem nie miał prawie wcale pieniędzy. Rinaldo nie dawał żadnej wieści o sobie, a zresztą, choćy się z nim połączył, to po to jedynie, aby słuchać wymówek za niezręczność. Nic zresztą nie wiedział o obecności prawdziwego Castillana w Saint-Sernin.

Gdy już narozmyślał się do syta, przyszedł w ostatecznym wniosku do przekonania, że najlepiej uczyni, jeżeli się uda do Paryża i postara się — jeśli to będzie jeszcze możliwe — o nowy sojusz z Rolandem.

Roztropny służący hrabiego Rolanda przed rozstaniem się z Ben Joelem pozostawił mu dokładną wskazówkę, dotyczącą drogi, którą się miał udać. Tą drogą sam też miał pośpieszyć, gdyby okoliczności zmusiły go zawrócić do Perigord.

Ben Joel ruszył więc szparko we wskazanym sobie kierunku, nie przewidując, że o mały kęs drogi ztamtąd czeka go przyjemna niespodzianka.

Szedł od dwóch godzin zaledwie, gdy na skraju horyzontu, ukazał się jeździec, pędzący, co koń wyskoczy. Tknięty przeczuciem, cygan zatrzymał się. Gdy jeździec, powściągając nieco rozpęd wierzchowca, przybliżył się na pół strzału pistoletowego, Ben Joel wydał okrzyk radości.

Poznał Rinalda.

Pełnomocnik hrabiego de Lembrat, po odegraniu w Colignac sławnej roli delegata starościńskiego, odbywał dalej swą drogę z pośpiechem.

Zamiarem jego było najpierw udać się do Saint-Sernin, aby dowiedzieć się o powodzeniu

Ben Joela, następnie dotrzeć aż do Gardony, gdzie ciągnęła go chętka przyjrzenia się oczyma właściciela tej pięknej posiadłości, którą hrabia Roland przyrzekł mu w nagrodę usług.

Radosnemu okrzykowi Ben Joela odpowiedział takiż okrzyk Rinalda.

Jeździec zsiadł z konia i wyciągnął rękę do sprzymierzeńca.

— Spodziewam się, że już wszystko skończone?— rzekł.

Ben Joel skrzywił się.

— Skończone? — powtórzył. — Zdaje mi się, że jeszcze nie.

I wysuwając na pierwszy plan wszystko, co mogło stanowić dlań okoliczności łagodzące, opowiedział Rinaldowi wypadki dzisiejszego rana.

— Ach niedołęgo — zawołał z gniewem Rinaldo. — Popsułeś wszystko przez zbyteczny pośpiech.

— Wypadało koniecznie śpieszyć się. Proboszcz oczekiwał z dnia na dzień Cyrana.

— Poczeka na niego długo!

Z kolei zdał sprawę ze swych czynności Rinaldo. Opowiedział krótko o wielkich dziełach przez się dokonanych, a Ben Joel, wysłuchawszy opowiadania, musiał przyznć, że w istocie zanadto się pośpieszył.

— Jednakże, — oświadczył w zakończeniu — nie mam sobie nic do wyrzucenia, nie wiedziałem bowiem, że Bergerac jest przez ciebie unieruchomiony. Z drugiej strony obawiałem się przybycia Castillana.

— Mistrz, jak sądzę, jest nam w tej chwili tak samo niegroźny, jak jego sługa. A zatem

wykonać nam trzeba jeszcze jedno natarcie i raz wreszcie położyć sprawie tej koniec. Dziś wieczorem wyruszymy do Saint-Sernin.

Wspólnicy weszli do pobliskiej oberży i kazali podać sobie obfity posiłek.

Siedzieli za stołem długo, tak długo, aż światło dnia przygasło i wieczór zapadł.

Gdy się już ściemniło zupełnie, postanowili udać się w drogę.

W tej chwili dwa konie przebiegły gościńcem w pełnym galopie i zwróciły ich uwagę.

W mroku dojrzeli niewyraźne kształty jeźdźców pochylonych i prawie leżących koniom na karkach.

— A to im pilno! — zauważył obojętnie Rinaldo, dopijając swego kieliszka. — Idźmy za ich przykładem, kolego Ben Joelu, i nie traćmy drogiego czasu. Wyłożę ci w drodze, w jaki sposób zamierzam zakończyć tę całą awanturę.

Sługa hrabiowski posadził cygana za sobą i ruszyli obaj drogą do Saint-Sernin.

Trzeba im było godziny, aby, nie śpiesząc się zbytecznie, mogli drogę tę przebyć.

Jadąc rozmawiali:

— Jakiż jest twój plan? — zapytał Ben Joel.

— Bardzo prosty. Czy znasz dom proboszcza?

Od piwnicy do strychu i w najdrobniejszych szczegółach. Wiesz, gdzie przechowuje się pismo hrabiego de Lembrat?

— W dębowej szafie, za łóżkiem księdza.

— Doskonale! Otóż należy jedynie wywabić klechę tej nocy pod jakimkolwiek pozorem z domu i podczas jego nieobecności przetrząsnąć dobrze ową kryjówkę.

— Wywabić go z domu? To nie będzie łatwe do zrobienia.

— Dlaczego? Alboż nie jest ojcem duchownym swych parafian, i gdy go wezwą do łoża jednego z nich, czyż będzie mógł odmówić?

— Aby go wziąć na tę wędę, trzeba znać kogo w Saint-Sernin, a my nie mamy tam żadnych znajomości.

— Jest tam jakaś oberża...

— Tak; nie widzę jednak...

— Przed przybyciem do oberży — ciągnął, nie słuchając go Rinaldo — owinę ciebie szczelnie swym płaszczem. Od tego czasu nie będzie ci wolno otwierać ust chyba tylko dla wydania żałośnego jęku. Po przybyciu położę cię natychmiast w łóżko. Powiem gospodarzowi, żem cię znalazł na drodze niedaleko ztamtąd, umierającego i zażądam, aby sprowadzono księdza do wyprawienia cię na drogę wieczności.

— Rozumiem — rzekł Ben Joel. — Proboszcz przybywa z pośpiechem, aby wypełnić swój święty obowiązek; my czekamy na niego zaczajeni za drzwiami ze sztyletami w rękach, i gdy się zjawi — kładziemy go trupem.

— Poczekaj no jeszcze. Ten klecha jest podobno krzepki w sobie?

— Istny Herkules!..

— W takim razie nie trzeba noży. Moglibyśmy chybić i wszystko byłoby stracone. Trzeba w pierwszej chwili zaraz uniemożliwić mu wołanie o pomoc i czynienie jakiegokolwiek hałasu. Tę czynność mnie pozostaw. Nie chciałbym zresztą psuć dzieła, rozlewając krew, z czego prędzej lub później musiałbym się tłomaczyć. Nabawiłoby mnie to niepotrzebnych kłopotów i

byłoby dla mnie wcale niepożądane, tu zwłaszcza, gdzie zamyślam z czasem osiąść na stałe.

— Niech i tak będzie! — zgodził się Ben Joel, ustępując towarzyszowi cały zaszczyt prowadzenia dzieła.

Była dziewiąta wieczorem, gdy sprzymierzeńcy dotarli do Saint-Sernin.

— Gdzie oberża? — było pierwsze pytanie Rinalda.

— Na placu przy kościele.

— To znaczy zarazem bardzo daleko i bardzo blisko. Daleko dla potrzebujących prędkiego wypoczynku; blisko dla tych, którym pilno do proboszcza. Wolałbym coś pośredniego. Ben Joel nie odpowiedział. Oczy jego zagłębiły się w ciemności, usiłując je przeniknąć.

— Patrz! — rzekł po chwili, wskazując małe światełko, które drżało w oddaleniu.

— Widzę. Cóż z tego?

— To światło pali się w małym, samotnym domku, na końcu tej drogi. Nie jedźmy dalej.

Rinaldo usłuchał rady i wstrzymał konia. Zsiadł następnie, aby zrobić przygotowania do komedyi, która miała być za chwilę odegrana.

Ben Joel został zawinięty w płaszcz towarzysza i położony na koniu, którego Rinaldo wziął za uzdę i pociągnął w stronę owego domu.

Była to lepianka, nader skromnej powierzchowności, porosła mchem i w ziemię zapadła.

Rinaldo zapukał silnie do drzwi, wołając:

— Jeśliście dobrzy chrześcianie, otwórzcie, otwórzcie jak najprędzej!

Mieszkaniec lepianki był zbyt wielkim biedakiem, aby obawiać się złodziejów. Wezwanie, choć bardzo gwałtowne, wcale go nie zaniepokoiło.

Otworzył bez namysłu i podnosząc do góry swą kopcącą lampkę, zapytał:

— Czego chcecie?

— Schronienia na tę noc. Jadę do Fourgerolles; na gościńcu o pół mili ztąd, znalazłem tego oto biedaka dogorywającego. Jeżeli jeszcze nie umarł, należy mu się z pewnością nie wiele.

— Wejdźcie! — rzekł po prostu wieśniak.

I zbliżył się do konia, aby dopomódz Rinaldowi w przeniesieniu chorego, który niebawem złożony został w izbie, na niskiem, liśćmi wysłanem łóżku.

Ben Joel, przejmujący się dokładnie każdą rolą, wydał w tej chwili słabe westchnienie.

— Jeszcze żyje — zauważył wieśniak. — Trzeba go ratować. Czy wiecie, co mu jest? Może raniony?

— Nie — odrzekł Rinaldo. — Myślę, że to uderzenie krwi do głowy. Już to podobno niewiele mu się należy i najlepiej byłoby sprowadzić do niego księdza.

I rozglądając się po izbie, dodał:

— Czy nie masz przyjacielu, nieco lepszego łóżka dla tego biedaka? Wynagrodziłbym cię za nie.

— Nie, mam tylko to jedno. Ale je chętnie odstąpię w takiej potrzebie.

— Zgoda. Będziesz zapłacony za swą poczciwość. Teraz pomyślmy o zbawieniu tej duszy chrześciańskiej.

— Słusznie. Skoczę duchem po księdza proboszcza.

— Zrób to jak najprędzej — rzekł Rinaldo.

I pochyliwszy się nad leżącym Ben Joelem, dodał:

— Bardzo z nim źle. Trzeba się śpieszyć.

Wieśniak wyszedł.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Ben Joel usiadł na posłaniu i rzekł:

— Obawiam się przyjacielu Rinaldo, że przedsięwzięliśmy rzecz wielce ryzykowną.

— Tak sądzisz?

— Bezwątpienia. Ten wieśniak zwróci się przeciwko nam i będzie bronił księdza.

— Postaramy się oddalić go w chwili stanowczej. Połóż się i bądź cicho.

W kilku słowach Rinaldo przedstawił towarzyszowi swój plan; następnie jął przygotowywać jego wykonanie.

Dwaj zbóje znaleźli wkrótce wszystko, co im było potrzebne.

Przez pół godziny, po odejściu wieśniaka, zdążyli skończyć całkowicie przygotowania.

Oczekiwali teraz na przybycie proboszcza. Aby przedsięwziąć rzecz tak zuchwałą i niebezpieczną, trzeba było być przygotowanym na wszystko i posiadać dokładną znajomość sztuki zbójeckiej.

Zbóje mieli przeciw sobie niepospolitą siłę księdza Jakóba; jedyną zaś okolicznością, sprzyjającą im, było zaufanie, jakie prawdopodobnie bajka ich potrafi wzbudzić w proboszczu.

Cokolwiekbądź, mieli wiarę w powodzenie zamachu.

Rinaldo odemknął nieco drzwi i jął nadsłuchiwać.

Niebawem dały się słyszeć głosy nadchodzących ludzi.

— Udało nam się! — szepnął z radością. — Kolego, Ben Joelu, nie zapomnij swojej roli.

I nie mogąc już opanować niecierpliwości, otworzył drzwi na całą szerokość i wszedł na spotkanie wieśniaka i księdza.

— I cóż? — spytał zwracając się doń proboszcz, uprzedzony już o wszystkiem — jakże się miewa chory?

— Nie mówi i nie porusza się, sądzę jednak, że jeszcze słyszy. Niech mi ksiądz proboszcz wybaczy łaskawie, żem go trudził o tak późnej godzinie.

— Mniejsza o to, bylebym nie spóźnił się.

— Proszę wejść — rzekł Rinaldo. — Ty zaś przyjacielu — zwrócił się do wieśniaka, wciskając mu w rękę złoty pieniądz — bądź łaskaw zająć się moim koniem. Widziałem niedaleko ztąd jakąś opuszczoną szopę. Będzie mu tam dobrze. Trzeba go tylko rozkiełznać i napoić.

— Zrobi się wszystko, jak najlepiej — oświadczył wieśniak, olśniony hojnością nieznajomego.

I odszedł, zostawiając księdza sam na sam ze zbójem.

Proboszcz bez żadnej obawy wstąpił do chaty.

Przy niepewnem światełku lampy, widać było nieruchome ciało cygana, spoczywające na posłaniu z liści.

Czarne, gęste włosy zasłaniały mu górną połowę twarzy; reszta niknęła pod naciągnionym wysoko płaszczem. Widoczne były tylko ręce, leżące na wierzchu i gotowe do pochwycenia ofiary.

W ciemnicy tej ksiądz Jakób zaledwie rozróżniał przedmioty.

Rinaldo wskazał mu łoże.

— Oto ten nieszczęśliwy, księże dobrodzieju.

Jakób Szablisty ukląkł i pochylił się nad leżącym, zapytując silnym głosem:

— Czy słyszysz mnie, mój bracie?

W tejże chwili z błyskawiczną szybkością, cygan pochwycił księdza za gardło, a Rinaldo rzucił się nań z tyłu.

Zbój, korzystając z zupełnej bezwładności napadniętego, zarzucił nań sznur mocny w rodzaju lasso, i podczas, gdy Ben Joel ściskał mu gardło jakby żelaznemi kleszczami, skrępował silnie ręce i nogi proboszcza.

Gwałtowne miotania się, wywołane chęcią obrony, wstrząsały co kilka chwil tymi trzema ludźmi, jakby w jeden silny węzeł splątanymi, cygan jednak nie puszczał ofiary, a Rinaldo w związywaniu jej nie ustawał.

Ruchy skrępowanego stawały się coraz słabsze i wolniejsze; gałki oczów, krwią nabiegłe, zdawały się wychodzić mu z głowy, a krtań, zbyt długo uciskana, przestała już chwytać i przepuszczać powietrze.

Wówczas dopiero Rinaldo zakneblował mu silnie usta.

Walka nie trwała dłużej nad minutę.

Ksiądz uległ.

Ben Joel i Rinaldo rzucili go na łoże. Już go się wcale obawiać nie potrzebowali.

— Teraz zajmiemy się tamtym — rozkazał Rinaldo.

Wyszlli obaj.

Wieśniak powracał właśnie do chaty.

Z tym mieli znacznie mniej kłopotu. Był to zresztą starzec, bronić się nie zdolny. Rinaldo, nic nie mówiąc, zarzucił mu swój płaszcz na głowę, przewrócił go na ziemię i wcisnął mu w usta knebel; jednocześnie Ben Joel związał mu ręce i nogi.

Zaniesiono następnie starca do szopy i położono na słomie tuż przy koniu Rinalda.

— Nie potrzebujesz niczego obawiać się — szepnął mu ten ostatni do ucha, odchodząc. Spij sobie spokojnie do jutra.

Pozostawił w szopie wierzchowca, który w tej chwili byłby mu tylko zawadą i rzekł do Ben Joela:

— Pole oczyszczone, a teraz — żywo do plebanii!

V.

Najgłębszy spokój panował dokoła Saint-Sernin. W samej wiosce wszystko również spoczywało w śnie i milczeniu. W żadnem oknie światło nie płonęło, a że i na chmurnem niebie nie świeciły ani gwiazdy, ani księżyc, trzeba więc było dobrze znać miejscowość, aby nie zbłądzić wśród ciemności.

Ben Joel służył towarzyszowi swemu za przewodnika.

Dostali się obaj na nie bez trudności na plac przed kościółkiem, nie spotkawszy żywej duszy na drodze. Kilkadziesiąt kroków zaledwie dzieliło ich od plebanii.

Przed wykonaniem zamachu, który w ich przekonaniu miał już być ostatnim i wieńczącym całe dzieło, zbóje odbyli małą naradę.

Dwiema drogami mogli byli dostać się do mieszkania księdza: przez drzwi i przez okno.

Drzwi były silne, z podwójnych desek dębowych i prawdopodobnie stawiłyby silny

opór. Mogli byli w ostateczności zapukać do tych drzwi, poczem otworzyłaby je gospodyni, z którą łatwoby im przyszło załatwić się.

Ale krzyki służącej zbudziłyby sąsiadów i sprowadziłyby im na kark całą ludność wioski.

Pozostawało okno.

To okno Ben Joel znał dobrze. Tędy właśnie owego ranka wyszedł,a właściwie został wyrzucony z gościny u proboszcza.

Przystęp do okna nie był trudny. Co więcej, wejście niem przedstawiało tę ważną korzyść, że wprowadzało ono od razu do sypialni księdza.

— A więc oknem!— postanowił Rinaldo, gdy mu towarzysz okoliczności te przedłożył.

— Potrzebne światło! — zauważył cygan.

— Już o tem pomyślałem.

— Masz latarkę?

— Nie, lecz mam krzesiwo; z chaty zaś wieśniaka wziąłem trochę pakuł. Wystarczy nam to, zanim odszukamy lampę.

— A więc dalej! Ja wejdę pierwszy.

Podsunęli się pod sam mur plebanii.

Rinaldo oddał naówczas tęż samą przysługę, jakiej niedawno w tem miejscu zażądała Marota od Castillana.

Nadstawił plecy, po których tamten wspiął się do okna.

Cygan, trzymajcy się muru, stanął w zagłębieniu framugi i całą siłą nacisnął ramę okna, która nacisku nie wytrzymała, gdyż osłabiło ją już niedawne pchnięcie potężnego księżowskiego ramienia.

Okno otworzyło się na całą szerokość.

W tejże chwili dał się słyszeć w pokoju ruch jakiś, którego cygan, zajęty swą robotą, nie zauważył.

— Dalej — hop! — zawołał przyciszonym głosem, wyciągając rękę do Rinalda.

Ben Joel był bardzo silny i sługa Lembrata bez obawy sile jego zaufał. Chwycił jego rękę i szarpnięty silnie w górę, wsparł się stopami o mur. Następnie cygan wciągnął go obiema rękami do pokoju.

— Do roboty! — rzekł Rinaldo, gdy tylko poczuł grunt stały pod stopami.

Podczas, gdy Ben Joel błądził po sypialni, szukając po omacku świecy, Rinaldo zatlił przy pomocy krzesiwa pakuły.

Po chwili znaleźli i rozpalili lampę, a gdy tylko płomień jej zabłysnął, rozejrzeli się instynktownie dokoła siebie.

Firanki nad łóżkiem były zasunięte i lekki podmuch — zapewne wiatru, wpadającego przez otwarte okno, zdawał się nieznacznie je poruszać.

Ben Joel wskazał towarzyszowi palcem szafę dębową.

— Tam? — zapytał Rinaldo.

— Tak.

Ben Joel wziął lampę i skierował się w stronę łóżka. Rinaldo postępował zaraz za nim.

Nagle obaj stanęli w miejscu, skamienieli z przerażenia.

Firanki poruszyły się żywiej i widoczne było, że już tym razem nie od wiatru.

Jednocześnie z głębi pokoju dał się słyszeć suchy trzask — trzask odwodzonego kurka od pistoletu.

Rinaldo stanął, zatrzymując Ben Joela i wyciągnął do połowy z pochwy sztylet.

Z ręką na głowicy sztyletu, zatopił w łóżku wzrok przenikliwy — wzrok strzelca, badające-

go oczyma krzak, w którym domyśla się ukrytej zwierzyny.

Ale w pokoju zapanowała napowrót cisza głęboka.

I jak myśliwy, omylony w przewidywaniach, Rinaldo szepnął pogardliwie:

— Nic tam niema.

W chwili, gdy zabierał się iść dalej, firanki przy łóżku rozsunęły się gwałtownie i wychyliła się z pomiędzy nich postać groźna.

— I cóż panowie? — przemówiła ta postać — decydujcie się! Już od kwadransa obserwuję was, chcąc dowiedzieć się o celu waszych miłych odwiedzin!

Przy tych słowach zeskoczył z łoża Cyrano, zupełnie ubrany, ze szpadą w jednej ręce, z pistoletem w drugiej i postąpił śmiało ku zbójcom.

Nie mogąc wymówić ani jednego słowa groźby lub tłómaczenia, takim strachem śmiertelnym przejęło ich to zjawisko, cofnęli się w przeciwny koniec pokoju.

— Jakóbie! Jakóbie! — zakrzyknął na cały głos Cyrano.

Rinaldo i Ben Joel odzyskali w jednej chwili krew zimną.

— Nie wzywaj pan daremnie księdza proboszcza — odezwał się szydersko cygan — zajęty jest w tej chwili gdzieindziej.

— A! — zawołał jednocześnie sługa hrabiego Rolanda — bardzo nam przyjemnie spotkać tu pana, panie Cyrano.

I wydobywszy nieznacznie pistolet, zmierzył prosto w poetę i wystrzelił.

Długa krwawa kresa wystąpiła na policzku Cyrana.

Smierć zajrzała mu w same oczy.

Rzucił się w stronę okna, aby przeciąć łotrom odwrót, a jednocześnie nie celując prawie, nacisnął cyngiel pistoletu.

Straszny krzyk wściekłości, przytłumiony w tejże chwili głuchym jękiem, odpowiedział na huk jego wystrzału.

Jednocześnie rozległ się łoskot padającego na podłogę ciała.

Zanim Cyrano mógł rozpoznać, który to z wrogów poległ od jego kuli, lampa została zrzucona na ziemię i zgasła.

Szlachcic przybrał postawę obronną i czekał.

W mroku nic się nie poruszało i najlżejszy głos nie wychodził z nikąd — prócz słabych westchnień, wydawanych przez rannego.

— Poddaj się! — zawołał rozkazująco poeta.

Szmer oddalających się szybko kroków był odpowiedzią na to pytanie.

Kroki te zmierzały w stronę drzwi.

Cyrano uderzył kilkakrotnie z całej siły nogą w podłogę.

Głos jakiś odpowiedział mu z dołu, a za chwilę później drzwi otworzyły się i stanął w progu Castillan z lampą w ręce.

— Długo budzić cię trzeba! — rzekł z gniewem poeta.

Sulpicyusz nie miał czasu odpowiedzieć.

Ben Joel rzucił się na niego z podniesionym nożem, torując sobie przejście.

Castilian w braku broni przytknął mu do samej twarzy płonącą lampę.

Olśniony i oparzony cygan rzucił się w tył i wpadł prosto w ramiona Cyrana, który ścisnął go krzepko, przywołując Castillana do pomocy.

Sulpicuysz postawił lampę na stole i zabrał się również do Ben Joela, który w mgnieniu oka został rozbrojony i związany i nie mógł już niczem przeciwnikom swoim zagrażać.

Wówczas dopiero Cyrano zajął się Rinaldem. Leżał on twarzą zwrócony do ziemi; na podłodze, przy nim połyskiwała kałuża krwi.

— Nie żyje! — rzekł poeta. — To byłaby szkoda. Zmusilibyśmy go do mówienia.

Raniony głucho zajęczał.

Cyrano uniósł go i rozpiął mu kaftan na piersiach.

Rinaldo ugodzony został w lewą stronę piersi.

— Zgubiony! — szepnął do siebie poeta, który znał się na ranach. — Spróbujmy jednak przyprowadzić go do przytomności.

Złożono umierającego na łóżku; poczem Cyrano przypomniał sobie księdza i zaniepokoił się o niego.

— Gdzie Jakób? — zapytał. — Czyżby piekielny hałas, który tu czyniliśmy nie był w stanie go przebudzić?

Castillan pobiegł do małej izdebki, gdzie proboszcz udał się na spoczynek, odstępując swego łóżka przyjacielowi.

Wiemy już, że nie mógł znaleść w niej nikogo.

Cyrano w jednej chwili zrozumiał, czy też domyślił się, co się stało.

Pochwycił drugi pistolet, nabił go, i przystąpiwszy do Ben Joela, który leżał związany na podłodze, rzekł zimno:

— Gdzie ksiądz? Jeżeli nie odpowiesz, zanim zmówię "Ojcze nasz", daję słowo szlachcica, łeb ci roztrzaskam!

Ben Joel znajdował się w położeniu, w którem trudno odmawiać. Wzrok Cyrana wyraźniej jeszcze, niż jego słowa, upewniał go, że ta pogróżka nie jest czcza.

Wyznał zatem wszystko.

Gospodyni i Marota, które prawie od samego początku tej sceny znajdowały się w sąsiednim pokoju, otrzymały natychmiast polecenie, aby razem z Castillanem pośpieszyły na pomoc księdzu Jakóbowi.

Cyrano pozostał sam na straży więźnia i rannionego, uważając za obowiązek zaopiekowania się tym ostatnim.

W tem miejscu wyjaśnić należy zagadkę niespodziewanego powrotu Sawiniusza.

Wtrącony w Tuluzie do więzienia, mógł był tam siedzieć bardzo długo, z przyczyny nadzwyczajnej opieszałości ówczesnej procedury sądowej, gdyby nie to, że pierwszy akt tej tragikomedyi rozegrał się przed oczyma hrabiego de Colignac.

Ten ostatni zaraz za powrotem do zamku, nie omieszkał zasięgnąć u wójta wiadomości o przebiegu całej sprawy.

Sławetny Cadignan, dumny ze swej zdobyczy, opowiedział z przechwałkami o wszystkiem, nie wyłączając ucieczki więźnia z pod klucza.

Ostatni szczegół uspokoił hrabiego, który w ciągu trzech dni nie kłopotał się o przyjaciela, wiedząc, że po odzyskaniu wolności łatwo da sobie radę...

Ale czwartego dnia przybył do zamku wójt i z nadzwyczajną radością, której nie starał się nawet pokrywać, oświadczył:

— A widzi wielmożny pan, że miałem słuszność, przestrzegając wielmożnego pana przed

tamtym gościem. To jest wielki przestępca, wielmożny panie! Dowiodą tego wielmożnemu panu sędziowie z Tuluzy.

— Co pleciesz, mości wójcie! Cyrano potrafił zadrwić z was i dziś już nie dosięgnie go wasza głupota!

— Nieprawda! Drapnął z Colignac, ale go przyłapali w Tuluzie, gdzie siedzi za kratą i czeka na spalenie.

— Niech djabli spalą ciebie razem z twymi przyjaciółmi! — zaklął, nie na żarty już rozgniewany hrabia.

I nie zwlekając, zaraz po wyproszeniu za drzwi wójta, kazał zaprzęgać i pośpieszył do Tuluzy.

Stosunki miał tam wielkie, dzięki czemu w ciągu dwóch dni zdołał naprawić, co nabroił głupi wójt i uzyskał uwolnienie Sawiniusza.

Doznane przeciwności w najwyższym stopniu rozdraźniły tego ostatniego, który cierpiał najbradziej z tej przyczyny, że tyle czasu traci nadaremnie.

Hrabia dobrze nabił kiesę, którą tuluzańscy przedstawiciele sprawiedliwości do dna wypróżnili, podarował przyjacielowi jednego ze swych najlepszych koni i wyprawił go do Saint-Sernin.

Marota spotkała Cyrana na drodze, nie trudno zaś jej przyszło poznać go z portretu, jaki nakreślił jej Castillan.

Zresztą z wrodzoną sobie śmiałością, zapytała go o nazwisko, a pokazawszy kartkę Sulpicyusza, łatwo skłoniła do pośpiesznej jazdy.

Poeta i cyganka przybyli jeszcze tego samego dnia wieczorem do Saint-Sernin. Ich to wła-

śnie spostrzegli, ale nie poznali Ben Joel i Rinaldo, gdy kończyli ucztować w przydrożnej oberży.

W tej chwili Ben Joel leżał skrępowany i bezwładny, Rinaldo zaś dogorywał; Cyrano przeto miał prawo nazywać się panem położenia.

Nie zapomniał on jednak, że walka niezakończona jeszcze i że Manuel przebywa w więzieniu, a Roland tryumfuje.

Teraz już nie lękał się zapasów. Alboż nie miał w rękach pisma hrabiego de Lembrat, tej najstraszniejszej broni przeciwko hrabiemu Rolandowi?

Była pierwsza po północy, gdy Castillan powrócił, prowadząc z sobą księdza Jakóba.

Proboszcz był niezmiernie zawstydzony swą porażką; pozwolił, aby dwaj nędznicy wywiedli go w pole jak dziecko.

Cyrano pocieszał go, jak mógł, i oznajmił mu wreszcie, że licha komedya, której padł ofiarą, zmieniła się w rzeczywistość.

Przed kilku godzinami wzywano księdza do umierającego, który okazał się naprawdę zdrowym i silnym; teraz będzie świadkiem chwil rzeczywiście ostatnich jednego z autorów owej zasadzki.

Ben Joela zamknięto w małej, pozbawionej okien piwniczce, gdzie miał czekać cierpliwie zmiłowania Bergeraca; trzej zaś przyjaciele, to jest Sawiniusz, Jakób i Castillan skupili się przy łożu, na którem spoczywał Rinaldo.

Już od kilku chwil służący odzyskał przytomność i przerażone jego oczy błądziły dokoła, przenosząc się z jednego na drugiego z obecnych. Niewątpliwie umysł jego, zmieszany zbliżającą się śmiercią, nie pozwalał mu zdawać sobie dokładnej sprawy z tego, co miał przed sobą.

Zdawało mu się może iż marzy, i brał za wytwór sennej wyobraźni rzeczywiste istoty, które stały przed nim i przemawiały do niego.

Cyrano hypnotyzował go bystrym, utkwionym weń wzrokiem, ale pod siłą tego wzroku umierający odzyskał chwilowo świadomość obecności.

Zrenice jego zabłysły, brwi ściągnęły się, zdradzając wysiłek myśli, z piersi wydarło się głębokie, przeciągłe westchnienie. Cierpiał, a razem z cierpieniem powróciła mu przytomność.

— Panie Cyrano! — odezwał się głosem tak słabym, że w uszach słuchaczów brzmiał jak szmer niewyraźny.

Sawiniusz przystąpił i kładąc dłoń swą na jego ręce, jakby dla przekonania się, że ma do czynienia z człowiekiem żyjącym, nie z cieniem, przemówił uroczyście:

— Stoisz w obliczu śmierci Rinaldo. Pojednaj się z Bogiem. Pozostawi ci on, spodziewam się, dość czasu, abyś mógł naprawić wyrządzone innym krzywdy. Teraz przyszła kolej na księdza Jakóba, który przystąpił do umierającego, spełniając obowiązek kapłański.

Castillan i Sawiniusz usunęli się chwilowo na stronę i kapłan mógł wysłuchać spowiedzi Rinalda

W tej strasznej i wzniosłej chwili, gdy nędznik czuł, że ma ziemię opuścić, i że czeka nań

groźna othłań wieczności, duch jego ugiął się pod ciężarem spóźnionych wyrzutów sumienia.

Usta jego, przywykłe do bluźnierstwa, szeptały instynktownie słowa modlitwy i wpatrywał się wzrokiem winowajcy, który oczekuje od sędziów wolności lub potępienia.

Gdy Rinaldo dał już odpowiedź na wszystkie pytania spowiednika, gdy usta księdza odmówiły nad nim ostatnią modlitwę i udzieliły ostatnie błogosławieństwo, Castillan i Sawiniusz przywołani zostali z powrotem do pokoju.

— Człowiek ten — oświadczył im kapłan — umiera skruszony, żałujący za grzechy i rozgrzeszony. Co chcecie aby dla was jeszcze uczynił?

— Czy jesteś w stanie pisać? — zapytał Sawiniusz umierającego.

Rinaldo uczynił głową znak przeczący.

— A podpisać się potrafisz? — zadał poeta nowe pytanie.

— W takim razie spiszemy przy tobie twój testament, twą wolę ostatnią.

Rinaldo roześmiał się gorzko.

— Chyba moje wyznanie — szepnął.

— Tak, wyznanie. Zanim staniesz przed potężnym sądem Boga, pozostawisz w naszych rękach świadectwo, stwierdzające występne knowania, których hrabia de Lembrat był twórcą, a ty wykonawcą; poświadczysz istnienie dowodów, okazujących niewinność Manuela, tych dowodów, które hrabia zniszczył, czy też ukrył, i odejdziesz z tego świata z sumieniem czystem, z duszą z brudów ziemskich omytą, z przeświadczeniem, że pozostawiasz nam środek naprawienia krzywd i niesprawiedliwości, do których spełnienia pośrednio się przyczyniłeś.

Rinaldo zebrał siły, aby dopełnić żądanego aktu.

Opowiedział jak najwierniej wszystko, co zaszło od chwili, gdy w pałacu hrabiego de Lembrat zamieszkał Manuel; odsłonił wszystkie podstępy i wyjawił wszystkie tajemnice swego pana.

W miarę jak mówił, Cyrano zeznania jego spisywał.

Gdy skończył, poeta odczytał raz jeszcze głośno ten akt i podsunął papier Rinaldowi, który u spodu położył drżącą ręką swój podpis.

— Przyprowadź Ben Joela — rzekł Cyrano do swego sekretarza.

Castillan wyszedł i wrócił po chwili, popychając przed sobą związanego cygana.

— Czytaj to — rozkazał Sawiniusz, podsuwając mu pod oczy wyznanie Rinalda.

— Przeczytam wszystko, czego jaśnie pan odemnie zażąda — wyjąkał pokornie zbój, z tą uległością dobroduszną, którą objawiał zawsze, ile razy znalazł się w rękach silniejszego.

I przeczytał.

— Teraz podpisz.

— Podpiszę wszystko, co jasny pan rozkaże — powtórzył tym samym tonem, co poprzednio.

— Masz — rzekł, wówczas Cyrano do księdza Jakóba. — Zachowaj to pismo. Przyda się ono nam w danej chwili.

Proboszcz, który wykonywał ze ślepą ufnością wszystkie zlecenia przyjaciela, wziął podany sobie akt, złożył go, i nic nie mówiąc, wsunął do kieszeni w sutannie.

— Jaśnie panie — zwrócił się Ben Joel do Cyrana — co jaśnie pan zamierza zrobić ze mną?

— Posłać cię na szubienicę!

Nędznik począł drżeć i nogi ugięły się pod nim, jakby zamierzał rzucić się do stóp szlachcica.

— Podły tchórzu! — wykrzyknął Cyrano z najwyższą pogardą. — Tak bardzo się zatem lękasz o swoją skórę? Uspokój się; możesz ją jeszcze ocalić.

— W jaki sposób? — zapytał prędko cygan, czepiając się rozpaczliwie słabego promyka nadziei.

— Oddając mi swą księgę rodzinną.

— Dam ją jasnemu panu — zapewnił cygan.

— Dobrze. Jest ona w Paryżu, nieprawdaż?

— Tak, jasny panie.

— Udamy się zatem jutro, w twojem zaszczytnem towarzystwie. Castillanie, odprowadzić tego człowieka.

Potem zbliżył się do księdza, który czuwał przy Rinaldzie i zapytał:

— Czy masz jaką nadzieję?

— Mam nadzieję, że Bóg mu przebaczył — odparł kapłan głosem poważnym.

Sawiniusz spojrzał na Rinalda. Leżał nieruchomo z głową na piersi opadłą.

Nie żył już.

Pochowano go nazajutrz na małym wiejskim cmentarzyku, nieopodal od pięknego folwarku, którego właścicielem zostać się spodziewał.

Ben Joel, któremu było bardzo niewygodnie w ciemnej i ciasnej piwniczce, rozmyślał w czasie swej samotności o ostatnich przeciwnościach losu i próbował tworzyć nowe plany.

Nigdy jeszcze nie dokuczało mu w tym stopniu, co teraz, pragnienie zemsty. Nawet chciwość ustępowała z jego duszy przed nienawiścią, jaką żywił do Cyrana.

— Kochany Jakóbie — rzekł Cyrano do proboszcza, uprzedzając go o swym bliskim odjeździe — zapraszam cię na ślub Ludwika de Lembrat z panną Gilbertą de Faventines, a co więcej, proszę cię, aby z twoich rąk otrzymali oni błogosławieństwo na drogę życia. Urządź zatem w ten sposób swoje interesa, abyś mógł za dwa tygodnie udać się do Paryża. Z kolei ja tobie ofiaruję gościnność u siebie.

Ksiądz Szablisty trochę się wymawiał; ale w końcu przyjął zaproszenie i Cyrano odjechał zadowolony z tego obrotu sprawy.

Ben Joel został przywiązany do wierzchowca Rinalda. Straż nad nim powierzono Castillanowi, i mała karawana skierowała się ku Paryżowi.

Nie zapomnijmy dodać, że w orszaku znajdowała się również Marota.

Zwróciła się ona do Cyrana z prośbą, by pozwolił jej towarzyszyć sobie i poeta, któremu podobała się jej pustacka wesołość i który cenił ją za oddaną wspólnej sprawie przysługę, z chęcią na to przystał.

Ben Joel dostrzegłszy w chwili odjazdu Marotę, cisnął jej jedno z tych wściekłych spojrzeń, które wyrażają więcej, niż długie przemowy.

Tancerka poprzestała na wzruszeniu ramionami, oraz na przesłaniu Castillanowi spojrzenia i uśmiechu, które sekretarzowi poety, kazały ostatecznie zapomnieć o wstydzącej roli, jaką odegrał w Romorantin.

Cyrano odzyskał w zupełności swój świetny humor. Postanowił obrócić drogę do Colignac. Nie przedłużało to jej zbytecznie, jadąc zaś tamtędy, mógł był poeta podziękować czulej i swobodniej przyjacielowi swemu za wyświadczoną sobie przysługę, oraz pokłonić się raz jeszcze sławetnemu Cadignanowi, swemu najserdeczniejszemu — wrogowi.

VI.

Pomiędzy podróżnymi jeden tylko był ponury i zamyślony: Ben Joel.

Jegomość ten myślał o jednem tylko, a mianowicie w jaki sposób wywinąć koziołka i porzucić bez pożegnania tę wesołą kompanię.

Dla dokuczenia Cyranowi najlepiej było w jego przekonaniu poszukać raz jeszcze sojuszu z Rinaldem.

Liczył na to, że mimo wszystko, to jest mimo zupełnej porażki, jakiej doznali wysłańcy jego w Saint-Sernin, znajdzie tego ostatniego w usposobieniu życzliwem dla siebie.

Hrabiemu niezbędną była taka zatracona dusza, a po śmierci Rinalda, cygan mógł śmiało ubiegać się o to stanowisko.

Duża jeszcze przestrzeń dzieliła Cyrana od więzienia, w którem zamknięty był Manuel.

Można było przy odpowiedniej zręczności i umiejętnem korzystaniu z czasu popsuć szyki poecie i za porażkę zapłacić mu porażką.

Ben Joel powtarzał sobie to wszystko, unoszony w niewygodnem położeniu przez konia, przyczepionego do wierzchowca Castillana; do spełnienia zaś tych zamysłów trzeba mu było przedewszystkiem odzyskać wolność. To ostatnie zajmowało go najbardziej.

Wiedząc, że Cyrano zamierza przejeżdżać przez Colignac, odkładał na tę chwilę swą ryzykowną próbę, tymczasem zaś starał się zyskać zaufanie jak największą pokorą i uległością.

Castillan, zupełnie o niego spokojny, a przytem zajęty Marotą, zaczął spuszczać go trochę z oka i niewolę jego czynić mniej surową, z czego wynikło, że gdy orszak wjeżdżał do Colignac, sekretarz poety i zbójca, czyli więzień i jego strażnik, wyglądali z pozoru na dwóch dobrych towarzyszów, podróżujących razem w jak najlepszej zgodzie.

W zamku bawiło wesołe towarzystwo, zaproszone przez hrabiego na wielkie łowy. Cyrano trafił dobrze; został też przyjęty po królewsku.

W osadzie o niczem nie mówiono, jak tylko o przybyciu "czarownika". Wszyscy miejscowi głowacze zgromadzili się w oberży Landriota, a sławetny Cadignan, obawiając się zemsty Cyrana, zaryglował i zabarykadował drzwi swego domu, oraz przygotował zapas pożywienia w piwnicy na wypadek, gdyby mu przyszło wytrzymywać oblężenie.

Wszystkie te obawy były bezzasadne; Cyrano miał w głowie zupełnie co innego, niż wywieranie na kimkolwiek zemsty.

Sawiniusz przejechał przez osadę i wyminął jej więzienie z taką miną, jakby nie pamiętał zgo-

ła o wypadkach, które go tu przed kilku dniami spotkały.

Gdy panowie rzgościli się w komnatach hrabiowskich, Ben Joel oddany został pod nadzór służby zamkowej, której Cyrano zagroził stryczkiem, jeśli więźniowi ujść pozwoli.

Castillan uwolniony od ciężkich obowiązków dozorcy, korzystał obficie z gościnności hrabiego. Zasiadł razem z innymi przy stole biesiadnym, mając przy sobie Marotę, która zdobyła sobie łaski dostojnych panów niezwykłą urodą i której świetny humor ożywiał całe towarzystwo.

Cyrano, podobnie jak hrabia de Colignac nie żywił żadnych przesądów względem tej rasy koczującej, do której należała tancerka, byle kobieta była piękna, obaj nie żądali od niej innych legitymacyi szlacheckich.

Ben Joela zamknięto w małej komórce, zkąd chcąc wydostać się, musiałby przechodzić przez kuchnię pełną służby. Bez krat zatem i drzwi okutych, dobrze był strzeżony.

Ponieważ nie było zamiarem Cyrana zamorzyć więźnia swego głodem, posłano Ben Joelowi obfitą wieczerzę. Razem z cyganem zasiedli do niej i służący, którym zlecono straż nad nim.

Gdy pojawiły się wety i gdy wino rozgrzało głowy, podniecając wesołość całej kompanii, Ben Joel postanowił zaskarbić sobie łaski u nowych towarzyszów.

Na różny sposób brał się do tego. Pokazywał służącym sztuki z kubkami, opowiadał im wesołe dykteryjki, wymyślał gry przeróżne, słowem, zabawiał ich wyśmienicie.

Ludzie ci dawno już w ten sposób nie ucztowali.

Życie w tym starym, gęstemi borami otoczonym zamku było nadzwyczaj jednostajne, rozrywka przeto każda nabierała tam podwójnej wartości.

To też służba hrabiego oddała się zabawie całą duszą, a burgrabia, który był jej wyrocznią, oświadczył poważnie, że "pan Ben Joel" nie może być złym człowiekiem, za jakiego uważają go, skoro potrafi porządną kompanię uczciwie zabawić i rozweselić.

— To prawda — odrzekł na tę uwagę cygan, przybierając minę uciemiężonej niewinności — nie wiem, dalibóg, dlaczego pan de Bergerac tak mi nie dowierza? Towarzyszę mu w drodze do Paryża, gdzie mam mu oddać pewną przysługę i z powodu, żeśmy się tam kiedyś posprzeczali, obawia się, że go mogę porzucić.

— Jestem pewny, że panu to nawet przez głowę nie przejdzie — oświadczył burgrabia.

— Rozumie się. Byłbym zresztą skończonym głupcem, gdybym chciał uciekać. Dano mi dobrego konia, nakarmiono pyszną wieczerzą i to wszystko za darmo. Gdyby mi nawet podobna niedorzeczność, jak porzucenie pana de Cyrano do głowy przyszła, poczekałbym ze spełnieniem jej do Paryża. Nie głupim zrobić to wcześniej. Za dużo kosztowałaby mnie ta zabawka!

— Ma zupełną słuszność — zadecydował burgrabia, zwracając się do obecnych.

— Możecie tam panowie być jak najspokojniejsi — dodał cygan z dobrodusznym uśmiechem, wodząc po zgromadzeniu wzrokiem życzliwym — z mojej przyczyny z pewnością wisieć nie będziecie.

Zabawa przeciągnęła się do późnej godziny.

— Basta! — odezwał się wreszcie burgrabia.

— Pan de Bergerac ma bardzo rano wyruszyć w dalszą drogę. Każda przyjemność musi mieć swój koniec. Trzeba iść spać.

— Czy ja tu pozostanę? — spytał skromnie cygan.

— Nie; nie jesteśmy przecie, do licha barbarzyńcami. Będziesz pan nocował przy mnie, w małym pokoiku, obok mojej sypialni; jestem zaś przekonany, że zachowasz się rozsądnie i nie zechcesz wypłatać mi figla, wynosząc się pokryjomu.

— Przysięgam na honor! — oświadczył z gonością niezmierną Ben Joel, którego nic nie kosztowały tego rodzaju zaklęcia.

— Chodź pan zatem.

Cygan udał się za swym przewodnikiem do jednej z oficyn zamkowych, gdzie burgrabia zajmował mieszkanie z trzech izb złożone.

Pierwsza izba była rodzajem przedsionka, z którego prowadziły drzwi do przestronnego pokoju, ten ostatni zaś łączył się bezpośrednio z ga binetem, o którym właśnie mówił uprzejmy gospodarz.

W gabinecie tym burgrabia rozesłał materac i rzekł uprzejmie do gościa:

— Zdaje mi się, że nie będzie tu panu najgorzej. Życzę dobrej nocy i przyjemnych marzeń.

Po tych słowach wyszedł i Ben Joel usłyszał lekkie zakręcenie klucza w zamku.

Był więc zamknięty. Zaufanie, jakie potrafił wzbudzić w umyśle burgrabiego, nie przekraczało jednak pewnej granicy.

Zamiast wyciągnąć strudzone członki na wygodnym materacu, Ben Joel usiadł na zydlu i czekał.

Niezadługo donośne hrapanie rozlegające się w ubocznej izbie, upewniło go, że burgrabia twardo zasnął.

Wówczas wstał i zbliżył się do drzwi z lampą, przy której świetle obejrzał dokładnie zamek.

Wielką radością napełniło go odkrycie, że zamek przybity był właśnie z tej strony.

Na śruby, przytrzymujące go, napuścił trochę oliwy z lampy, aby ułatwić sobie delikatną operacyę, do której się zabierał, następnie, z niesłychaną ostrożnością i zadziwiającą lekkością ręki przystąpił do dzieła.

Sztylet z krótkiem i mocnem ostrzem posłużył mu za dłuto.

Chrapanie rozlegało się coraz głośniej, co było bardzo na rękę cyganowi.

Cztery śruby zostały niebawem wykręcone.

Ben Joel zbliżył lampę do klucza. Klucz był wyjęty.

Odetchnął. Ten drobny szczegół, o którym w pierwszej chwili nie pomyślał, zakłopotał go nie żartem, mógł był bowiem całe dzieło, tak pięknie zapowiadające się, popsuć, przeszkadzając w odjęciu zamka.

Po chwili żelazny mechanizm, uwolniony od przytrzymujących go śrub, znajdował się już w rękach cygana, który złożył go ostrożnie na podłodze.

Cygan był wolny — mógł był przynajmniej opuścić swobodnie swą celę.

Zanim pchnął drzwi, raz jeszcze przyłożył do nich ucho, nasłuchując. Żaden jednak głos podejrzany nie dochodził z zewnątrz, prócz potężnych chrapań, do których już przywyknął.

Ben Joel nacisnął ostrożnie drzwi, które wykręciły się lekko na zawiasach, przebiegł na palcach przez pokój następny i znalazł się przy drugich drzwiach, wiodących do przedsionka.

Te ostatnie zamknięte były po prostu na klamkę. Klucz tkwił z przeciwnej strony.

Baczny na wszystko cygan, zaraz po wyjściu, zakręcił klucz i na dwa spusty zamknął burgrabiego w jego własnem mieszkaniu.

Ale wykraść się z celi, to jeszcze nie wszystko. Trzeba było nadto wykraść się z zamku.

Mury zamkowe były wysokie; otaczał je zaś głęboki rów, napełniony wodą. Na tyłach zamku rozciągał się ogród, w takiż sam sposób broniony.

W tę stronę skierował się Ben Joel, licząc że tędy łatwiej wymknąć się potrafi.

Noc była bardzo widna i światło księżyca pozwalało rozpoznawać przedmioty, tak prawie, jak przy pełnym blasku dnia.

Skradając się ostrożnie w cieniu, rzucanym przez rozłożyste drzewa cygan, dostał się na sam koniec ogrodu.

Widać ztąd było w oddaleniu białe ściany domów wiejskich, oraz połyskującą, na kształt srebrnej wstęgi, rzeczułkę.

Ben Joel, rozglądając się pilnie dokoła, zauważył w jednem miejscu szluzę, biegnącą w kierunku prostopadłym do muru, a zatem przecinającą fosę przez całą szerokość.

Gdyby udało mu się postawić stopę na pierwszym kamieniu tej szluzy, potrafiłby z wrodzoną sobie kocią zwinnością, przedostać się suchą nogą na brzeg przeciwny.

Rzeczą najważniejszą było dostać się na ów pierwszy kamień. Mur był zupełnie gładki, po-

zbawiony wszelkich szczerb i wszekich wyskoków. Nie rosło też przy tym murze żadne drzewo, którego gałęzie mogłyby posłużyć wdrapującemu się na oparcie.

Ben Joel zmierzył oczyma przestrzeń, dzielącą go od szluzy. Wynosiła ona co najmniej dwadzieścia pięć stóp, cygan zaś zanadto dbał o całość swoich kości, aby chciał się narazić na skok tak niebezpieczny.

Cofnął się w głębię ogrodu. Niecierpliwość i niepokój dokuczać mu zaczęły.

Jął znów rozmyślać, szukać i — znalazł, co mu było potrzebne.

W kącie ogrodu pod samym murem potknął się o leżące na ziemi drzewo jodłowe, które musiało być świeżo ścięte, gdyż kora była jeszcze zupełnie świeża. Drzewo to było przepiłowane w całej długości na grube żerdzie.

Cygan zmierzył długość żerdzi. Liczyła ona około piętnastu stóp, a więc o jakie dziesięć stóp mniej, niż cyganowi było potrzeba.

— Do djabła! - zaklął widzę, że mi będzie trudniej wydostać się ztąd, niż sądziłem.

— Wziął jednak z sobą znalezioną żerdź i wyciągnął ją na środek ulicy.

Następnie powlókł drugą takąż samą żerdź i próbował przymocować do tamtej. Ale nie miał rzeczy najkonieczniejszych do tego: sznura i gwoździ.

Na szczęście, znalazł trochę dość mocnego łyka. Przyłożywszy żerdzie do siebie i wzmocniwszy je dębowemi gałęziami, zabrał się do związywania ich owem łykiem, próbując co chwila wytrzymałości spoidła.

Praca nad tem zabrała mu około dwóch godzin czasu.

Gdy je skończył nareszcie, odpoczął przez chwilę, następnie podniósł obie żerdzie, wsparł je o mur, i raz jeszcze mocy ich spróbował.

Zadowolony z próby, zaciągnął ten rodzaj drabiny aż do miejsca, w którem znajdowała się szluza. Tam przesunął ją na drugą stronę muru, tak, że dolny jej koniec, dosięgał błotnistej fosy, zanurzając się na jakieś dwie czy trzy stopy. Koniec górny zaledwie cokolwiek ponad mur wystawał.

Ben Joel wyrwał kamień z muru i w powstałej ztąd szczerbie osadził końce żerdzi, aby zapobiedz chwianiu się swego przyrządu w chwili, gdy będzie na dół po nim schodził.

Zabezpieczywszy się w ten sposób, dostał się jednym skokiem na szczyt muru, chwycił się obiema rękami swej drabiny i ześlizgnął się po niej do fosy, gdzie stanął zaraz na szluzie.

Szluza była zbudowana z belek dębowych sześciocalowej grubości.

Cygan, który dla ocalenia życia podjąłby się przejść nawet po ostrzu szpady, puścił się odważnie tą drogą wąziutką, z rozstawionemi, jak akrobata, ramionami i dostał się bez szwanku na brzeg przeciwny.

Tym razem czuł się już zupełnie bezpiecznym.

Nie miał wprawdzie ani szeląga w kieszeni, to wszakże najmniejszego nie sprawiało mu kłopotu.

Ben Joel pewny był, że przy swojej odwadze i zabiegliwości prędko zdobędzie wszystko, co mu było potrzebne, aby dostać się prędko do Paryża.

Tymczasem zaczęło świtać i goście hrabiego de Colignac przebudzili się.

Sawiniusz wyskoczył pierwszy z łóżka, zastukał do drzwi Castillana i zawołał:

— Wstawaj, śpiochu! Ubierz się i idź po cygana. Jedziemy!

Sekretarz poety miał bardzo niewyraźne pojęcie o tem, gdzie znajduje się więzień i jak się dostać do niego.

Jął wypytywać służbę, która wskazała mu mieszkanie burgrabiego.

Udawszy się tam, usłyszał dobywające się z głębi przekleństwa.

— A zdrajca! łotr! szubienicznik! — wykrzykiwał służący hrabiego. — Oczarował mnie z pewnością psiawiara!

— Proszę otworzyć! — zawołał Castillan.

— A jakże mam otworzyć, skoro sam jestem zamknięty. To pan raczej wypuść mnie na wolność.

Sulpiciusz otworzył drzwi z klucza. Ukazał się w nich wściekły od gniewu burgrabia.

— Więzień? — spytał młodzieniec.

— Uciekł panie, zniknął! ziemia się pod nim rozstąpiła! Ach panie, dola moja nieszczęsna! Zgubiony już jestem bez ratunku!

Straszny był gniew Cyrana, gdy mu o ucieczce cygana doniesiono. Cała służba zamkowa dosiadła koni i popędziła na wszystkie strony, upatrując zbiega.

Cygan, zamiast pędzić na oślep przed siebie, jakby to zrobił na jego miejscu każdy nowicyusz, oddalił się zaledwie o jakieś dwie czy trzy wiorsty od zamku i ukrył się w trzcinie, nieopodal od drogi.

W godzinę później, widział z kryjówki swej całą, przebiegającą mimo niego kawalkadę, na

czele której galopowali Sawiniusz i hrabia Colignac. Towarzyszyła też im Marota.

— Wybornie — rzekł do siebie Ben Joel. — Odrazu trop zgubili. Mogą sobie teraz pędzić na koniec świata, jeśli im się podoba. Jakkolwiek dręczony głodem i przejęty nawskróś wilgocią, nie prędko odważył się wyjść z kryjówki.

Nareszcie około południa, pogoń zjawiła się z powrotem i pocwałowała do zamku. Nie powrócili jednak wszyscy; Ben Joel dojrzał tylko hrabiego i jego służbę.

— Otóż pościg skończony — rzekł cygan. Jedni zmęczyli się i wracają odpoczywać; drudzy pojechali prosto do Paryża. Mogę już wyjść bez obawy.

Otrząsnął zmoczoną odzież i szybkim krokiem puścił się w ślad za Sawiniuszem i jego towarzyszami.

Nie było wszakże jego zamiarem odbywać drogi pieszo.

Obiecywał sobie, że niebawem nastręczy mu się sposobność zdobycia dobrego konia, oraz potrzebnych w drodze pieniędzy.

Nad wieczorem, wyszedłszy z jakiejś chaty podróżnej, gdzie wyżebrał kieliszek wina i kawałek chleba, bez których nie byłby już w stanie iść dalej, spotkał na drodze handlarza koni, który prowadził sześć przepysznych rumaków.

— Otóż mam, czego mi potrzeba — rzekł do siebie.

—Hej przyjacielu! — krzyknął na handlarza.

— Czego chcecie? — zapytał tamten, zatrzymując się.

— Czy można, bez urazy waszej, dowiedzieć się, dokąd jedziecie?

— Nie ma w tem żadnej tajemnicy. Jadę, kochanku, prosto do Paryża.

— Do Paryża? A to wybornie się składa.

— Dlaczego?

— Chcecie wziąć mnie za towarzysza?

— Ech! — rzekł filuternie handlarz — czemużby nie. Droga jest przecie dla wszystkich.

— Droga jest dla wszystkich, to prawda; ale konie są tymczasem tylko dla was. Ładne sztuki, na honor!

— To się wie! Przeznaczone do królewskiej stajni, paniczu.

— Zanim jego królewska mość, lub który z dworskich dostojników zaszczycą ich grzbiet swoją osobą, czy ubliżyłoby im, gdyby poniosły takiego, jak ja, biedaka?

— Idzież do Paryża?

— Miałem już honor wam to oświadczyć. Co ważniejsze, upadam ze znużenia i nie mam w kieszeni ani jednej pobielanej blaszki. Mógłbym być użytecznym wam w drodze, gdybyście chcieli...

—I owszem. Mój stajenny zachorował i jeżeli zgodzisz się zastąpić jego miejsce, dostaniesz po przybyciu do Paryża kilka pistolów.

Ben Joelowi nie trzeba było tego powtarzać. Dosiadł natychmiast jednego z koni, idących luzem i handlarz poznał odrazu ze sposobu, w jaki cygan obchodził się z koniem, że powierzył swą własność w dobre ręce.

W taki to sposób brat Zilli dostał się do Paryża, pozwalając o pół dnia tylko wyprzedzić się Cyranowi.

VII.

Gdy próba z otruciem nie powiodła się hrabiemu Rolandowi, udał się on do starosty.

Czcigodny Jan de Lamothe był nadzwyczaj zajęty.

Śledztwo w sprawie Manuela znacznie posunęło się naprzód i skrupulatny urzędnik, chcąc zdać sobie dokładną sprawę z najdrobniejszych szczegółów, postanowił sprawdzić osobiście, jeden po drugim wszystkie akta procesu.

Na widok wchodzącego Rolanda, podniósł się i postąpił kilka kroków, aby się z nim przywitać.

— Panie de Lamothe — rzekł hrabia — wybacz mi łaskawie, że cię odrywam od ważnych zajęć, lecz...

— Lecz — przerwał starosta, uprzedzając myśli gościa — jesteś pan niecierpliwy dowiedzieć się o obecnym stanie naszej sprawy.

— Nie inaczej. Zaciekawia mnie niezmiernie ten proces, nie dlatego, bym pożądał zemsty, lub jakiegokolwiek osobistego zadowolenia, lecz że pragnę dojść, jakie pobudki kierowały w rzeczywistości tymi, co ten niecny podstęp wymyślili.

— Gdybyśmy chcieli wierzyć temu, co mówi oskarżony, nie było tu żadnego podejścia.

— Wciąż zatem zaprzecza? — wykrzyknął Roland z doskonale udanem zdziwieniem.

— Jest niesłychanie zacięty w swym uporze. Badałem go właśnie przed chwilą.

— I cóż?

— Utrzymywał najpoważniej w świecie, że nazwisko i tytuł, który przybrał, należą mu się

z prawa, i że pan hrabia wie o tem lepiej, niż ktokolwiek inny!

— Ja!

— Tak, panie hrabio. Twierdzi on nawet — rzecz niesłychana doprawdy, a jednak prawdziwa — że sędziom przedstawi dowód... materyalny dowód słuszności swych zeznań.

—Dowód... materyalny? — powtórzył Roland niespokojnie. Cóż takiego ma on na myśli?

— Nie wiem. Odmówił bliższych objaśnień.

— A pan starosta nie domyśla się, o co idzie?

— Nie, nie domyślam się. Jedna tylko rzecz mnie uderzyła. Podczas poprzednich przesłuchiwań Manuel był smutny, przygnębiony nawet. Na zadawane sobie pytania odpowiadał z widocznym wysiłkiem, świadczącym o upadku ducha. Dziś stanął przedemną, jakby całkowicie przetworzony. Przyczynia mi to wiele kłopotu.

— Czy nie rozporządzasz pan środkami, które pozwalają sięgnąć aż do samego dna jego sumienia? Zręczny to człowiek; odgrywa zapewne komedyę czelności.

—Niema takiej komedyi, którąby można odegrać przed groźnemi narzędziami, jakimi posługuje się prawo.

— Sądzisz pan zatem, że przemówi?...

— Tak, za kilka dni. Wspomniałeś pan o środkach, które przyśpieszają wahające się postanowienia. Najlepszym z tych środków i ostatecznym, gdyż używam go jedynie w wypadkach tak wyjątkowego uporu, jak ten właśnie, o którym mówimy — jest...

— Jest?

— Tortura.

— Prawda — rzekł zimno hrabia — zapomniałem o tem.

Niezmierna radość napełniła serce Rolanda. Otrzymał rzecz, której żądał, nie będąc zmuszonym prosić o nią wyrażnie. Wiedział on, że najodważniejsi nawet, gdy się ich weźmie na męki, mają chwilę słabości, liczył więc, że ból fizyczny wyciśnie z ust Manuela wyznanie, które go zgubi ostatecznie.

— Panie hrabio — odezwał się nagle starosta — czy nie posyłałeś kogo do Manuela?

— Posyłałem służącego, aby mu zaniósł trochę pożywienia. Mimo wszystko, ten Manuel obchodzi mnie, i chciałem mu choć w ten sposób osłodzić pobyt w więzieniu — odparł bezczelnie Roland.

— Doprawdy, panie hrabio, jesteś zanadto dobry. Tego rodzaju nędznik nie zasługuje na żadne współczucie.

— Czy to on wspominał panu o tem? spytał Roland zaniepokojony.

— Nie! Dowiedziałem się o tem od dozorcy.

Hrabia uspokoił się.

— Poleciłem służącemu — dodał — aby nie wymieniał osoby, która prowianty posyła. Manuel, jak się zdaje, domyślił się czegoś, bo już nazajutrz nie chciał przyjąć posłańca.

— Tak — szepnął starosta w zamyśleniu — i z pewnych słów oskarżonego wnioskuję, że owa szczególna nadzieja, która go ożywia w tej chwili pozostaje w związku z temi właśnie odwiedzinami.

I znów niepokój opanował hrabiego. Pocieszał się jednak myślą, że jego stosunek do więźnia i ta wyższość, jaką posiadał, występując

pierwszy z oskarżeniem, popieranem, jak dotąd, przez fakta, czyniły go z tej strony nietykalnym.

Pożegnał starostę, o nic już więcej nie dopytując i udał się do margrabiego de Faventines.

Od czasu uwięzienia Manuela, Gilberta znosić musiała bez oporu narzuconą sobie wolę swego ojca.

Znikąd nie przybywały dowody, uniewinniające Manuela, poczynała już zatem wątpić, czy sprawa ta zakończy się pomyślnie dla niego i dla niej.

Po raz drugi strącono ją ze szczytu marzeń...

Manuel okazał się rzeczywistym cyganem; pannie szlacheckiego rodu nie wolno było o nim myśleć.

Ale czyż mogła rozkazywać swemu sercu, które niezwalczoną mocą ciągnęło ją do młodzieńca? Czyż mogła rozkazać myślom swym, bezustannie osobą jego zajętym, aby w innym pobiegły kierunku?

Nie! Gilberta kochała; nie była w stanie oprzeć się temu uczuciu i nie mogła uwierzyć w zarzucaną Manuelowi niegodziwość.

W ciągu kilku dni niezapomnianych, w których los pozwolił młodzieńcowi zbliżyć się do niej i rozmawiać z nią, jak z równą sobie, potrafiła ocenić właściwie delikatność jego uczuć i wartość jego rozumu.

Tracąc swe stanowisko w świecie, nie stracił on jednak uroku w oczach panny de Faventines.

Wolny czarował ją; uwięziony — olśniewał, otaczała go bowiem aureola niezasłużonego męczeństwa.

W braku dowodów materyalnych, stwierdzających niewinność ukochanego, wystarczało Gilbercie — przeczucie. Gotowa była w ostateczno-

ści przyjąć jego ciemne pochodzenie, ale na charakter nieszlachetny nigdyby nie przystała. Uparcie też powtarzała sobie, że jest on raczej ofiarą, niż winowajcą.

Czuła tę prawdę i w głębi duszy była o niej przeświadczoną; na nieszczęście nie mogła jej udowodnić faktami.

Nikogo też nie zadziwi, że mimo zupełnego przeświadczenia o swej bezsilności i nieuchronnej prawie zgubie Manuela, powzięła ostateczne i niezłomne postanowienie względem swego małżeństwa z Rolandem.

Postanowiła nie zaślubiać hrabiego.

Niezależnie od tego, z najwyższą obojętnością zezwalała na całą krzątaninę przygotowawczą, na cały ten gwar powszedni, a często i trywialny, który poprzedza tego rodzaju uroczystości rodzinne, wiedziała bowiem z góry, że to wszystko na niczem się skończy.

Powziąwszy niecofniony zamiar zerwania, za wszelką cenę, nienawistnego sobie związku, pozwalała Rolandowi odwiedzać się, słuchała cierpliwie i z zimną uprzejmością jego czułych wyznań, a następnie, niczem wymaganiom światowej uprzejmości nie ubliżywszy, zamykała się w swym pokoju, oddając się smutnym, choć i słodkim zarazem rozmyślaniom.

Ale jednocześnie prawy jej charakter nie pozwalał jej ukrywać rzeczywistych myśli i uczuć.

Ile razy margrabia mówił jej o przyszłem małżeństwie, odpowiadała po prostu:

— Nie zostanę nigdy żoną pana Rolanda de Lembrat.

Ojca przyprawiała z początku ta odpowiedź o gniew wielki. Następnie jął zwolna oswajać

się z nią i poczytywać niechęć córki za pewien rodzaj panieńskiego kaprysu, który w ostatniej chwili sam przez się ustąpi.

Roland przybył do pałacu Faventines w takiem usposobieniu, że Gilberta odgadła natychmiast, iż walka będzie nieuniknioną.

Hrabia, zamiast narzeczonej, zastał w bawialni tylko jej rodziców.

Uwikłany w przeróżne sprawy, które sam wywołał, ale których ostatecznego wyniku nie mógł być jeszcze pewnym, chciał przynajmniej zapewnić sobie posiadanie Gilberty.

Kochał on pannę de Faventines z namiętnością, której przeszkody dodawały coraz większej mocy.

Pragnął ją posiąść, nawet wbrew jej woli, i wbrew wszystkiemu na świecie, a żar krwi młodej nie pozwalał mu zastanowić się nad stanem duszy Gilberty.

Gdy tylko znalazł się w obecności margrabiego i jego małżonki, zaraz po wyrażeniu ubolewania z powodu nieobecności panny, przystąpił śmiało do rzeczy.

— Mości margrabio — rzekł — jakkolwiek szczerze żałuję, że nie dano mi pozdrowić panny Gilberty, szczęśliwy jestem, znajdując sposobność wyjawienia państwu swych nadziei i swych pragnień. Oddawna już posiadam dane mi przez was słowo. Kiedy pozwolicie mi zażądać jego spełnienia?

— Kochany hrabio — odrzekł stary margrabia — wiesz, że jestem zupełnie ci oddany. Jeśli nie oznaczyłem dotąd jeszcze dnia ślubu, to przyczyną tego były jedynie wypadki, które wstrząsnęły silnie umysłem naszej córki i nas w

równym stopniu przeraziły, wpływając na opóźnienie tego, co — możesz mi zawierzyć — jest celem najgorętszych naszych pragnień.

— Sądzę, że wspomnienie przykrego wypadku, o którym wspominasz panie margrabio, powinno już było zatrzeć się w pańskiej pamięci i nie stać na przeszkodzie memu szczęściu.

— Nigdym wypadku tego nie uważał za przeszkodę. Przestrach i żal, jakiemi napełniło nas w pierwszej chwili uwięzienie pańskiego brata... wybacz pan! tego Manuela chciałem powiedzieć, już z umysłów naszych ustąpiły. Rozmówmy się zatem, jeśli życzysz sobie tego, o tym związku, którym dom nasz zaszczycasz.

— Ale powiedz nam, panie hrabio — przerwał sobie nagle margrabia — czy nie wiesz, co się dzieje z Cyranem?

— Nic nie wiem o Cyranie.

— Jesteś wszakże z nim w stosunkach przyjacielskich?

— Niezupełnie. Cokolwiekbądź niepokoi mnie jego postępowanie — dodał z dziwnym uśmiechem. — Nie wiem, gdzie się znajduje, wiem jednak, że wyjechał z Paryża.

— Na długo?

— Bergerac lubi przygody i ubiega się za niemi, sam też pewnie nie umiałby przepowiedzieć z góry ani wyniku, ani końca swej podróży.

— Zajmował się on bardzo pańskim... tym Manuelem — potknął się po raz drugi margrabia, z trudnością widocznie zapominający o miłej znajomości, zawartej z wicehrabią Ludwikiem de Lembrat.

—Tak jest; bardzo!

— Czemuż go tak nagle porzucił?

—Cyrano ma dużo miłości własnej. Nie chce przyznać się do tego, że był chrzestnym ojcem oszusta i być może, osądził za rzecz najlepszą czekać w ukryciu, aż go sądy uwolnią na zawsze od nieprzynoszącego mu zaszczytu pupila.

— Jest najpewniej tak, jak pan hrabia utrzymujesz.

— Zapomnijmy o Bergeracu, panie de Faventines, i jak sam tego pragnąłeś, pomówmy o mojem małżeństwie. Długo nad tem rozprawiać nie potrzebujemy. W tej chwili pozostaje nam już tylko oznaczyć dokładnie termin.

— Zapytam Gilberty.

— O! pannom nigdy się nie śpieszy. Trzeba w ich imieniu powziąć postanowienie, przeciw któremu one nigdy prawie nie zakładają opozycyi. Za dwa tygodnie, jeśli pozwolisz, panie margrabio, mogę zostać pańskim zięciem.

Margrabia zwrócił pytający wzrok na żonę, która, zagłębiona w pracowitem wyszywaniu kwiatów kolorowemi jedwabiami, zdawała się obcą tej całej rozmowie. Nie dojrzawszy w wyrazie jej twarzy zaprzeczenia, odrzekł:

— Zgoda, kochany hrabio; za dwa tygodnie.

Przy tych słowach podał rękę Rolandowi, który ją energicznie uścisnął.

Do uścisku dołączyłby też zapewne kilka oświadczeń wdzięczności, lecz w tej chwili weszła Gilberta.

Ostatnie wzruszenia i troski odbiły się wyraźnie na twarzy panny de Faventines. Pobladła i zeszczuplała, a oczy jej nabrały niezwykłego i niepokojącego blasku. W spojrzeniu jej, które nadaremnie usiłowała ukryć pod długiemi rzęsami, widniało silne wewnętrzne podniecenie i coś

w rodzaju groźby, czego jednak ani ojciec, ani matka, codziennie z nią obcujący, dotąd nie zauważyli.

Roland dostrzegł tę szczególną przemianę w twarzy narzeczonej. Ale wydała mu się teraz jeszcze piękniejszą i goręcej, niż kiedykolwiek, pożądał przyśpieszenia terminu, w którym skarb ten na własność posiędzie.

Gilberta podeszła automatycznym krokiem do środka salonu, i na pozdrowienie hrabiego odpowiedziała sztywnym ukłonem, przyczem czoło jej nie straciło ani na jednę chwilę swego marmurowego chłodu.

— Pani była cierpiącą? — ośmielił się zapytać Roland.

Narzeczona spojrzała nań zimnym wzrokiem.

— Nie, panie hrabio — odrzekła. — Zkąd to zapytanie?

— Zdało mi się... mówiono mi... — jąkał Roland, zmieszany tym wzrokiem szczególnym, w którym nie było nic więcej, prócz obojętności — może nawet nienawiści.

— Otoczenie moje zanadto się mną niepokoi — mówiła Gilberta tym samym zimnym i śmiałym głosem. Ale cokolwiek panu mówiono, możesz być spokojny. Nie byłam cierpiącą i nie jestem nią.

Przeszła mimo narzeczonego i usiadła przy matce.

Roland przeciągnął odwiedziny swe aż do nocy, nie usłyszał jednak od Gilberty ani jednego słowa więcej, prócz tych, które wyrzekła przy wejściu do salonu. Margrabina, równie, jak córka milcząca, przyglądała mu się z pod oka.

Z pozoru Gilberta wydawała się zupełnie spokojną; pomagała pilnie matce w wyszywaniu kwiatów i słuchała rozmowy Rolanda z margrabią, nie objawiając wszakże niczem, aby ją ona choć cokolwiek obchodziła.

Ta rozmowa, obracająca się przez czas długi dokoła zwykłych światowych ogólników, zeszła nareszcie na przedmiot, o którym obaj chętnieby zapomnieli, a który mimowoli pociągał ich ku sobie.

Rozmawiali o Manuelu.

Gilberta dowiedziała się w ten sposób, że starosta tego samego dnia właśnie badał ponownie jej ukochanego i że nie przestawał on stać silnie przy swojem.

Takie zachowanie się więźnia, które oburzało margrabiego, odpowiadało najzupełniej pojęciu, jakie wytworzyła sobie Gilberta o charakterze Manuela.

Była dumną ze swej miłości i wybiegała myślą ku owym strasznym podziemiom, w których zamknięto wszystkie jej nadzieje i marzenia dziewicze.

Po odejściu hrabiego, margrabia zbliżył się do córki i rzekł:

— Moje dziecię, dużo mówiliśmy dziś o tobie z hrabią de Lembrat. Prosił on mnie o udzielenie stanowczej odpowiedzi w sprawie ślubu i musiałem prośbę jego spełnić.

— Dokończ, ojcze — odezwała się Gilberta, widząc, że margrabia zatrzymał się, jakby czekając jakiejś uwagi, a przynajmniej zapytania.

— Zostało postanowione — ciągnął margrabia — że twój ślub odbędzie się za dwa tygodnie.

— Czy to termin stanowczy i czy to twoja, ojcze, niezłomna wola?

— Alboż nie mówiłem ci już o tem?

— A ja, mój ojcze, alboż nie mówiłam ci, że nie zostanę nigdy żoną pana de Lembrat?

— To kaprys, do którego nigdy wiary nie przywiązywałem. Małżeństwo to jest konieczne, Gilberto. Ze związku tego spływa honor na naszą rodzinę. Pozwól mi dodać, że podług mego mniemania, przyniesie on i tobie szczęście, i nie sprawiaj mi boleści odmową, która postawiłaby mnie w położenie bez wyjścia.

— Czy to twe ostatnie słowo, ojcze?

— Ostatnie — odrzekł margrabia, ściągając brwi.

— Niech cię Bóg ma w swej opiece, mój ojcze! — zakończyła Gilberta, kłaniając się przed starcem.

Następnie, ucałowawszy matkę, odeszła do swego pokoju, odprawiła Paketę, która czekała, by ją rozebrać i otworzyła okno, chcąc odetchnąć chłodnem powietrzem nocy.

Wprost niej wykreślały się na niebie czarne sylwety domów, stojących na wybrzeżu. O kilka kroków od niej, prawie przy samem oknie, o które się oparła, toczyły się w mroku, z szeptem melancholijnym, głębokie fale Sekwany.

— Nie! nie w ten sposób! To zbyt straszne! — szepnęło dziewczę, odchodząc od okna.

Stanęła po środku pokoju głęboko zamyślona, i nagle, prawie mimowoli, imię Zilli znalazło się na jej ustach.

Oczy jej silniejszym zapłonęły blaskiem. Znalazła widocznie, czego szukała.

VIII.

Gdy minął pierwszy, najsilniejszy napad choroby, który Zillę zmógł i na ziemię powalił, znalazła ona w młodości swej i w energicznej, zahartowanej naturze siłę odporną, oraz skuteczny lek — którego sztuka lekarska, w tej epoce bardzo zresztą niedojrzała, nie była w stanie wymyśleć.

Nie mogła jeszcze wychodzić z mieszkania, zaledwie miała siłę przejść się niekiedy po swej komnatce, wróciły jej już wszakże władze umysłowe.

Odzyskała zatraconą czasowo pamięć przebytych zdarzeń i myślała z boleścią głęboką, że tyle już czasu upłynęło od chwili, gdy wykonała niepomyślną próbę dostania się do więźnia i ocalenia go od śmierci.

Spytała o brata. Ben Joel dotąd jeszcze nie powrócił. Wobec tego, nie mając sposobów zbadania bezpośrednich przyczyn jego nieobecności, zamilkła, unikając rozmyślnie zbyt natarczywych wypytywań. Wolała też nic zgoła nie wiedzieć o losie ukochanego człowieka.

— Manuel nie żyje...

To zdanie dźwięczało jej nieustannie w uszach i drżała na myśl, że któregokolwiek dnia wymówi je głośno odźwierna, jedyna istota, która odwiedzała ją w tej samotni.

Z nadzwyczajną tedy niecierpliwością wyglądała chwili, gdy będzie mogła wyjść na świat.

Przyszła jej kiedyś myśl, aby wysłać odźwierną do Chatelet i dać jej zlecenie do Johana; wiedząc jednak, jak jest niezręczna i przez ciągłe

obcowanie z włóczęgami zdziczała, — odstąpiła od tego zamiaru.

Niebawem jednak zdarzenie, którego przewidzieć nie mogła, pozwoliło jej dowiedzieć się o losie Manuela.

Na drugi dzień po tem, gdy Gilberta uległa pozornie woli ojca, Zilla, smutna i samotna — rozmyślała o bracie Manuelu — o bracie, który nie zasługiwał wprawdzie ani na jej przywiązanie, ani na troskliwość; lecz mógł był stanowić wielką pomoc w tej sprawie; o Manuelu, którego skryta nadzieja pozwalała jej jeszcze widzieć żyjącego i bliskiego uwolnienia.

Zilla, jak wszystkie kobiety zakochane, była przesądna. Wychowała się zresztą w otoczeniu, które dokonywało wiele praktyk zabobonnych. Przeczytała dużo ksiąg magicznych i horoskopy, stawiane w nich, niejednokrotnie — za sprawą zwykłego przypadku — sprawdzały się.

Tego wieczora umysł jej bardziej, niż kiedykolwiek skłaniał się do rzeczy nadprzyrodzonych. Rozmyślając też o przeznaczeniu Manuela i swem własnem, rzekła do siebie:

—Ach! któż uchyli zasłonę, skrywającą przyszłość. Jeśli ta sztuka wróżbiarska, której mnie uczono, nie jest zbiorem kłamstwa i fałszów, mogłabym przy jej pomocy zbadać dręczącą mnie tajemnicę.

Podniosła się z trudnością i postawiła na stole dużą czarę kryształową, którą napełniła wodą.

Następnie odsunęła lampę, ustawiła przed czarą srebrne zwierciadło, a przed zwierciadłem zapaliła knot, napuszczony siarką.

Niebieskawy płomyk siarki, odbity w zwierciadle, zabarwił natychmiast wodę w kryształowem naczyniu.

Zilla z natężoną uwagą jęła badać tę grę świateł.

Nagle knot zaskwierczał i zgasł.

Wróżka zadrżała.

— Ach! — szepnęła w przerażeniu — krew, krew i ciemności. Życie jakiejś istoty ludzkiej ma zgasnąć, jak płomień odbity przez to zwierciadło, zaświeciwszy przedtem żywszym jak on blaskiem. Któż to ma umrzeć: Manuel czy ja?

W tej chwili lekko zapukano i drzwi zaraz się otworzyły. W półmroku, zapełniającym komnatę, Zilla dojrzała zamaskowaną kobietę. Za tą kobietą, w postawie pełnej uszanowania, stał człowiek jakiś, widocznie zaufany służący.

Przed przywitaniem Zilli nieznajoma zwróciła się do towarzysza i rzekła:

— Pilnuj drzwi, kochany Wilhelmie. Dopóki będę tu bawiła, nikt wejść nie może.

Wilhelm wyszedł i obie kobiety zostały same.

— Pani jesteś Zilla? — spytała nieznajoma.

— Tak. Czego pani żąda odemnie?

— Powiem to zaraz. Przysięgnij mi jednak wpierw, że w najgłębszej tajemnicy zachowasz moje odwiedziny.

— Jakąż mam potrzebę przysięgania? Nie znam pani.

— To nic. Cokolwiek zajdzie tu, musi pozostać między nami.

— A więc dobrze. Przysięgam, że pani nie zdradzę.

Zamaskowana kobieta zauważyła wówczas dopiero, że Zilla jest bardzo blada i z trudnością trzyma się na nogach.

— Pani jesteś słaba! — rzekła ze współczuciem. — Proszę cię, spocznij.

Zilla osunęła się na łóżko i wsparła na poduszki w postawie siedzącej nieznajoma stała w miejscu.

— Zillo — przemówiła nieznajoma — zajmujesz się przepowiadaniem przyszłości z linii rąk; niekiedy także śpiewasz z towarzyszami na placach publicznych?

— Ci, co mówili pani o mnie, znają mnie.

Nieznajoma zdawała się przez chwilę namyślać; potem podjęła.

— Ale to nie wszystko jeszcze, nieprawda? Posiadasz także inne umiejętności?

— Nie. Nic więcej nie umiem. Co znaczy to pytanie?

— Nie chcesz mnie zrozumieć. Czy mam tłomaczyć się wyraźniej? Rasa, do której należysz, posiada tajemnice praktyk wszechmocnych, strasznych zaklęć, innym ludziom nieznanych. Czyż ty sama nie odziedziczyłaś po ojcu jednej z tych tajemnic stanowiących o czyjemś życiu lub śmierci?

Zilla starała się wyczytać myśl nieznajomej w oczach, resztę bowiem twarzy skrywała przed nią maska.

A! — rzekła — chodzi pani zapewne o napój miłosny?

— Nie! — zaprzeczyła tamta potrząsając głową niecierpliwie.

— W takim razie...

Teraz z kolei zawahała się Zilla.

— Obawiasz się zgadnąć, czy też być zrozumianą? — spytała maski.

Pochyliła się i szepnęła coś wróżce do ucha.

— Trucizny! — wykrzyknęła wróżka. — Przyszłaś pani do mnie po truciznę?

— Ciszej... Nie wymawiaj tego słowa jeśli cię przeraża.

— Nie słowo przeraża mnie, ale rzecz sama. Nie chcę przyjmować udziału w zbrodni.

— Alboż wspomniałam ci, Zillo o zbrodni? — rzekła wyniosłym tonem nieznajoma.

— I bez tego mogłabym się była domyśleć.

– Uspokój się — rzekła tamta z goryczą w głosie. — Jeżeli kto ma umrzeć od tej trucizny, to tylko ja sama.

— Pani chcesz umrzeć? pani? tak młoda, tak bogata, tak kochana niezawodnie!

— Co cię to obchodzi. Nie po współczucie tu przyszłam. Musi nadejść wkrótce już może — dzień taki, że śmierć będzie jedyną dla mnie ucieczką. Nad tą śmiercią muszę mieć władzę. Czarna toń Sekwany pod memi oknami zanadto mnie przeraża; drżę również przed ostrzem stali, przenikającej do samego serca. Potrzebna mi trucizna, która daje sen spokojny i uśmierca od razu, jak piorun.

Zilla zerwała się na nogi.

— W słowach i w myślach pani panuje zamęt. Proszę pokazać mi rękę.

Nieznajoma spełniła polecenie.

— A! — rzekła cyganka, przyjrzawszy się tej białej, delikatnej, wypieszczonej rączce, która bez obawy do niej się wyciągnęła — te linie... tak, znam te linie! Miłość!... zawód!... walka!... Zwycięstwo lub śmierć!

— Przypominam sobie — zakończyła cofając się z krzykiem — pani jesteś Gilberta de Faventines!

— Kto ci o tem powiedział? — szepnęła nieznajoma wzruszonym głosem. Zdejmij pani swą maskę. Zbyteczna już teraz. Znaki twych przeznaczeń czytałam już raz na tej dłoni... tam, u ojca pani. Po nich panią poznaję.

Instynkt nie zawiódł cyganki. Była to w istocie Gilberta.

Córka margrabiego zdjęła maskę. Twarz jej miała wyraz energii i silnego postanowienia.

— A więc — rzekła — skoro poznałaś mnie, Zillo udziel mi tego, o co proszę, gdyż i tobie zapewne wiadomy powód, dlaczego chcę umrzeć.

Ciemny płomień zatlił się w oczach cyganki i wolnym głosem spytała:

— I pani zatem kochasz go bardzo?

— O kim mówisz?

— O Manuelu. O tym Manuelu, którego kochałam i którego pani odebrałaś mi po to, aby go zgubić.

— Nieszczęście! Obie kobiety badały się przez chwilę wzrokiem.

W zachowaniu się każdej z nich widniała podejrzliwość. Na usta oświeconej nagle wyznaniem cyganki cisnęły się słowa nienawiści i pogardy. Zilla czuła otwierające się w sercu wszystkie rany, które zadała jej miłość i zazdrość.

Cyganka silniejsza duchem od Gilberty, przytłumiła prędko ogień swych źrenic i z innego punktu na wszystko spojrzawszy, pośpieszyła z zapytaniem:

— Więc Manuel żyje?

— Żyje — potwierdziła Gilberta. — Czyż nie wiedziałaś o tem?

Niewymownem szczęściem rozpromieniła się twarz cyganki.

W pierwszej chwili, znalazłszy się w obliczu swej pięknej rywalki myślała jedynie o swej nieszczęsnej miłości, nie badając nawet, czy nie jest już ona w tej chwili przedmiotu czci swej pozbawioną.

Ale teraz to ostatnie pytanie usunęło wszystko na stronę.

Uspokojona przez wyraźną odpowiedź panny de Faventines, wróżka uległa ponownie podszeptom swej niespokojnej natury.

— Pani kochasz go! — powtórzyła.

— Gdybym go nie kochała, czyż byłabym tu w tej chwili? — oświaczyła otwarcie. — Na cóż mam osłaniać serce swe tajemnicą, gdym się już całkowicie w ręce twoje oddała. Ojciec mój żąda, abym poślubiła hrabiego de Lembrat. Nienawidzę tego człowieka i pogardzam nim. Jeśli zechcą się upierać przy tem małżeństwie spokojnie poczekam na godzinę stanowczą, gdyż zanim ręka moja dotknie ręki hrabiego, zanim kapłan wygłosi błogosławieństwo — będę już trupem.

— Trwasz więc pani silnie w swem postanowieniu?

— Silniej, niż kiedykolwiek!

— I wciąż liczysz na mnie, że ci w niem dopomogę?

— Czemużby nie! — odrzekła Gilberta szczególnym głosem.

Skryta myśl przebijająca się w tych dwóch prostych słowach, nie uszła uwagi Zilli.

Panna Gilberta, nie mogąc myśleć o przekupieniu cyganki pieniądzmi, zdawała się mówić do niej spojrzeniem, ruchem, dźwiękiem głosu:

— Nienawidzisz mnie, gdyż ci zabrałam miłość Manuela. Jeśli Manuel odzyska kiedyś wol-

ność, nie do ciebie się zwróci, lecz do mnie. Daj mi więc broń, której od ciebie żądam. Z chwilą mojej śmierci nikt już nie zdoła wydrzeć ci tego, dla którego ja się poświęcam.

Słowa te, z których ani jedno nie zjawiło się na ustach Gilberty, dźwięczały wyraźnie w uszach i w sercu Zilli.

Zły duch powtarzał jej te słowa nieustannie, i czuła, że sumienie zaczęło słabnąć nieustannie pod ich naciskiem.

Widziała miłość swą, odnoszącą zwycięstwo nad miłością Gilberty, widziała zapadające w przepaść wszystkie przeszkody, które dzieliły ją od Manuela.

Jedna kropla trucizny wystarczała, aby widzenie to stało się rzeczywistością, a ta trucizna była w jej rękach, w jej mocy.

Przez chwilę stała w milczeniu, pogrążona w myślach, walcząc z szatańskiemi pokusami. Gilberta położyła dłoń swą na jej ręce.

To nieme zapytanie wyrwało cygankę z zadumy.

Ostatni skrupuł ustąpił z jej duszy demon zazdrości owładnął nią niepodzielnie.

Zwróciła się do Gilberty i głosem lodowatym rzekła:

— Masz pani słuszność.

Następnie, otworzywszy stojącą w pobliżu szkatułkę, wydobyła ztamtąd naszyjnik bursztynowy, i podała go jej, mówiąc:

— Proszę. Ten naszyjnik należy do pani.

— Nie rozumiem... — szepnęła Gilberta, wahając się, czy go ma wziąć.

— To są kulki bursztynowe — objaśniła cyganka. — Ta oto, która wisi tuż przy srebrnym

amulecie, nieczem z pozoru nie różni się od innych, tymczasem...

— Daj! rozumiem już! — wykrzyknęła Gilberta w gwałtownem podnieceniu. — Ta ostatnia kulka jest zatruta.

— Da się ona rozpuścić w wodzie, nie zostawiając żadnego śladu i sprowadzi śmierć szybką, bez cierpień i bez konania.

— Dziękuję ci Zillo. Zrozumiałaś mnie. Jeśli umrę, nic sobie nie wyrzucaj. Oskarżaj jedynie przeznaczenie. I jeśli Manuel wróci do ciebie, bądź szczęśliwą. Wspomnij mu niekiedy o mnie. O zmarłą nie będziesz przecie zazdrosną.

To słowo wymówione głosem łagodnym i lekko drżącym, w szczególny sposób oddziałało na Zillę. Z oczu jej spadła nagle zasłona.

Pojęła w tej chwili całą ohydę zamierzonego czynu; zawstydziła się i przelękła samej siebie i rzucając się do Gilberty, zawołała:

— Byłam szalona i niegodziwa! Oddaj mi pani ten naszyjnik! oddaj!

— Nie Zillo! Oddać ci go, znaczyłoby nie tylko wyrzec się lękliwe raz powziętego zamiaru, ale nadto skazać siebie samą na śmierć powolną, a więc boleśniejszą. Do widzenia Zillo. Odchodzę z ufnością w Bogu.

— Nie! pani nie odejdziesz!

Cyganka, jakkolwiek słaba i wycieńczona sceną, która wzmogła jej gorączkę, znalazła w sobie dość siły, aby stawić opór wychodzącej.

Osunęła się do nóg Gilberty i obejmując je rękoma, zawołała:

— Jesteś pani lepsza i godniejsza miłości odemnie! Tracąc Manuela, postanowiłaś umrzeć. Ja, w tem samem położeniu, myślałam tylko o zemście. Przebacz mi i — żyj!

— Podnieś się Zillo i daj mi rękę. Wspólna boleść uczyniła nas siostrami, lecz nie spodziewaj się, że mnie przemożesz. Z rąk twych otrzymałam wielki skarb, — bo spokojność; za żadną cenę skarbu tego ci nie oddam.

— Na kiedy naznaczony ślub pani? — zapytała nagle Zilla.

— Za dwa tygodnie.

— Czy pan de Cyrano w Paryżu?

— Zdaje się, że wyjechał. Ale na co to pytanie?

— Pytam, bo mam wiele błędów do odpokutowania, bo sprzykrzyła mi się niegodna rola, którą dotąd odgrywałam, bo wreszcie pragnę ocalić panią i zwrócić jej Manuela!

— Ty, Zillo?

— A któż, jeśli nie ja, jest przyczyną jego zguby?

— Ależ....

— Słyszałaś pani o księdze, w której znajduje się świadectwo, stwierdzające pochodzenie Manuela?

— Więc?

— Tę księgę, której nie wydano ani hrabiemu Rolandowi, ani też panu de Cyrano, ja posiadam i — pilnie jej strzegę.

— A brat twój?

— Brata nie potrzebuję obawiać się. Jest on daleko ztąd. Zresztą cóż brat mógłby postawić przeciw temu świadectwu, oraz przeciw memu osobistemu zeznaniu? Dotąd niegodna uczciwego serca nadzieja powstrzymywała mnie od tego zeznania. Teraz postanowiłam wszystko powiedzieć.

— Nie uwierzą ci. Pan de Lamothe jest zbyt uprzedzony do Manuela.

— Pokażę księgę.

— Powiedzą, że podrobiona. My Zillo, słabe kobiety, nie posiadamy dość siły, aby walczyć z władzą, która uparła się bądź co bądź, postawić na swojem. Tu potrzebna ręka mężczyzny.

— Mężczyzny? Znam jednego, który z całem poświęceniem ofiarowałby nam swą pomoc, ale ten właśnie, jak mówiłaś pani, jest nieobecny.

— Pan de Bergerac?

— Tak.

— Być może, iż powrócił?

I podszedłszy do drzwi, Gilberta przywołała służącego.

— Wilhelmie — rozkazała — idź do mieszkania pana de Bergerac i dowiedz się, czy powrócił. Bądź ostrożny spraw się dobrze i prędko. Wracaj jak najśpieszniej. Będę na ciebie czekała.

Nieznaczna przestrzeń dzieliła Dom 'Cyklopa od zajazdu, w którym przemieszkiwał poeta.

Podczas, gdy Wilhelm przebywał ją krokiem pośpiesznym, obie młode kobiety rozmawiały o swoich projektach.

Rozmowa trwała niedługo, służący zjawił się wkrótce z powrotem.

— Pana de Bergerac nie ma jeszcze w Paryżu — oznajmił, wchodząc. — Nikt też nie wie dokładnie, kiedy powróci.

— Ha! — rzekła smutno Gilberta. Bóg nam nie sprzyja.

—Pójdę jutro sama do pana Cyrano—oświadczyła Zilla. Może lepiej mi się powiedzie.

— Czy będziesz miała siłę? Jesteś jeszcze bardzo osłabiona.

— Przemogę swą słabość. I tak już za długo trzyma mnie w domu.

— Podzielisz się ze mną wiadomościami?

— Otrzymasz je przez pana de Cyrano, jeśli się z nim zobaczę. Tymczasem — dodała ciszej — spełnij pani moją prośbę i oddaj naszyjnik.

— Nie, Zillo. Nadzieje nasze mogą okazać się zawodnemi i na wszelki wypadek trzeba mieć broń pod ręką.

— Postawię na swojem, zobaczysz pani. Mam dobre przeczucie.

— W takim razie nie powinnaś mieć żadnej obawy o mnie?

— W żadnym wypadku nie będziesz potrzebowała posługiwać się strasznym podarkiem, który odemnie otrzymałaś.

— Kto wie! — szepnęła Gilberta w zamyśleniu.

I okazawszy ruchem stanowczym, że za żadną cenę naszyjnika nie odda, pożegnała szybko cygankę i wyszła w towarzystwie Wilhelma.

Ten ostatni stary sługa rodziny de Faventines, przywykły do ślepego wykonywania woli swej pani, odprowadził Gilbertę do pałacu, ani jednego pytania nie śmiąc zadawać jej w drodze.

Zaleciwszy Wilhelmowi zupełne o wszystkiem milczenie, Gilberta udała się do swego pokoju, niczyjej uwagi na siebie nie zwróciwszy, i po raz pierwszy od wielu dni spokojnie zasnęła.

———

IX.

Ale Zilla spać nie mogła.

Gdy niepewne światło poranku wniknęło do komnatki cyganki, wstała i spróbowała sił, przechadzając się na małej przestrzeni od łóżka do okna.

Była jeszcze bardzo osłabioną i tylko podniecenie nerwowe dodawało jej mocy.

Mimo wszystko ubrała się, wydobyła z ukrycia księgę, przez ojca jej zapisaną i wolnym krokiem zeszła na niższe piętro.

W izbie noclegowej spotkała oździerną, która na jej widok nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia.

— Pani Zilla wychodzi? — spytała.

— Wychodzę — odrzekła krótko cyganka.

— Ależ kochanko, blada jesteś, jak śmierć. Na pierwszym skręcie ulicy upaść możesz bez sił.

— Nie upadnę!

I wyszła na ulicę nic więcej nie mówiąc. Starucha popatrzyła na nią wzrokiem litościwym, potem rzekła, wzruszając ramionami:

— Wreszcie, cóż mi tam do niej!

Swieże powietrze dobrze oddziałało na Zillę. Posuwając się zwolna i przystając chwilami dla nabrania sił, doszła do zajazdu, w którym mieszkał poeta, i gdzie za przybyciem zastała gospodarza, prowadzącego nader ożywioną rozmowę ze służącą Cyrana.

Zajazd i oberża miały swój wygląd zwyczajny. O tak wczesnej godzinie żaden jeszcze bie-

siadnik nie przestąpił progu izby gościnnej, gdyż stoły były zupełnie czyste, a cynowe kubki wisiały w prawidłowych szeregach na ścianie. Prawie zawsze w każdym domu, do którego przybywa gość nowy, lub powraca który ze starych mieszkańców, zauważyć można trochę nieładu, ujawniającego się częstokroć w bardzo nieznacznych szczegółach.

Mieszkanie Cyrana, nie przedstawiało na pierwsze wejrzenie, żadnego z tych znaków ostrzegawczych.

A jednak Sawiniusz, Castillan i Marota powrócili już z drogi.

Wszyscy troje nadzwyczaj znużeni, zasypiali teraz głęboko.

Przybycie Maroty było właśnie przedmiotem żywych rozpraw pomiędzy właścicielem zajazdu a gospodynią poety. Ta ostatnia musiała ustąpić swej izdebki tancerce i niemało była oburzona wtargnięciem do domu tego ładnego szatanka.

Zilla zwróciła się z zapytaniem do gospodarza i nie mogła ukryć radości, dowiedziawszy się o powrocie Cyrana.

— Czy mogłabym zobaczyć się zaraz z panem de Bergerac? — spytała.

— Zaraz się dowiem — odrzekł zapytany. — Dochodzi dziewiąta, a pan de Cyrano, choćby nawet większą połowę nocy spędził bezsennie, nigdy później nie wstaje.

Poprosił Zillę do środka i wbiegł szybko na schody, wiodące na pierwsze piętro.

Gospodyni, za przybyciem cyganki oddaliła się w stronę bramy Nesle.

Zilla była od kilku chwil sama w izbie gościnnej, gdy z wysokości schodów rozległ się głos gospodarza:

— Proszę na górę.

Usłuchała z pośpiechem wezwania i uprzejmy Gonin, wskazując jej drzwi, wiodące do pokoju poety, rzekł:

— Niech pani wejdzie. Pan de Bergerac czeka na panią.

Zilla zbliżyła się do stołu, przy którym siedział Cyrano, mimo wczesnej godziny, zajęty już pisaniem.

— A! a! co widzę! — rzekł wesoło — to ty, moja piękna! Nader miłą niespodzianką są dla mnie twoje odwiedziny, bom myślał, żeśmy już na wieki poróżnieni.

Zilla, zdając się nie zwracać uwagi na ton ironiczny, jaki się w słowach tych przebijał, odpowiedziała:

— Sprawa wielkiej wagi sprowadza mnie do pana, panie Cyrano. Czy zechcesz mnie pan wysłuchać?

— Z jak największą uwagą. Pragniesz pani może dowiedzieć się czego o swym niezrównanym braciszku?

— I cóż mój brat?

— Jeżeli nie przybył wraz ze mną do Paryża, to już z pewnością nie moja w tem wina. Drapnął z pod mojej nalczulszej opieki. Ale bądź pewna, że prędzej czy później nawrócę go na dobrą drogę i wynagrodzę wedle zasług.

— Nie o brata tu chodzi — przerwała Zilla, którą dobry humor poety draźnić poczynał. — Chodzi tu o Manuela.

— Ach! o Manuela? Biedny chłopiec! z jakąż rozkoszą uściskałbym go w tej chwili.

Cyganka przystąpiła do rzeczy. Opowiedziała o wszystkiem: o miłości swej, zazdrości, walkach

wewnętrznych i zakończyła spowiedź prośbą o przebaczenie.

Poeta z zasady łatwo wszystkim przebaczał.

— Ależ doprawdy — rzekł do Zilli — niczego więcej nie pragnę! Wyznanie, które uczyniłaś, okupuje bardzo wiele błędów, i jeśli tylko jesteś szczerą...

— Chcesz pan dowodu? — przerwała cyganka.

— Alboż go posiadasz? — spytał Cyrano zaciekawiony.

Zilla wydostała z pod okrywki księgę, zabraną z domu, i nic nie mówiąc, położyła ją przed poetą.

Był to gruby zeszyt pergaminowy, w prostej, lecz mocnej, oprawie, którego pierwsze karty nosiły datę bardzo już odległą.

Zeszyt ten całkowicie zapisany był po cygańsku.

Cyrano otworzył go i przewracając końcem palca karty, przyglądał się ciekawie dziwacznym hieroglifom, któremi były pokryte.

— Cóż to za gryzmoły? — spytał wreszcie.

— Pan wie dobrze. Przynajmniej domyślać się pan powinien.

— Księga Ben Joela?

— Tak!

— Nareszcie!—wykrzyknął poeta.—Nareszcie mam cię w ręku, drogocenny dowodzie! Doprawdy, Zillo, twój postępek godzi mnie z tobą ostatecznie. Gdzież jest to miejsce, w którem ojciec twój zapisał szczegóły, odnoszące się do porwania Manuela i śmierci małego Szymonka?

Zilla przewróciła kilka kart i znalazłszy właściwą kartę, przetłomaczyła Cyranowi dwie zapiski, o które mu chodziło.

— Doskonale — rzekł. — Gdybym nie miał w rękach dowodów jeszcze mocniejszych, księga ta byłaby dla mnie skarbem nieoszacowanym. Czy pewna jesteś, że te gryzmoły mają takie znaczenie, jakie im nadałaś?

— Przywołaj pan kogokolwiek, należącego do mojej rasy i pokaż mu te karty. Jeżeli ten lub ta, którym polecisz odczytać to pismo, znają dobrze swój język, tłomaczenie nawet co do jednego słowa różnić się nie będzie.

— Wierzę ci, Zillo. Możesz odejść w zupełnym spokoju. Manuel będzie jutro wolny.

— Czemu nie dziś jeszcze?

— Dlatego, że dziś udaję się do hrabiego de Lembrat, aby oszczędzić mu — nie dla niego samego, lecz dla honoru nazwiska, które nosi — hańbiących rozpraw publicznych. Jeżeli zechce upierać się przy swojem, tem gorzej dla niego. Spełnię wszystko, com winien pamięci jego ojca.

— Żegnam cię, panie Cyrano. Pokładam w panu zupełne zaufanie.

Poeta podniósł się i do samych drzwi odprowadził cygankę.

Następnie kazał przywołać Marotę.

Tancerka z zaspanymi jeszcze oczyma, przybyła w dziesięć minut później.

Cyrano otworzył księgę Ben Joela i, wskazując palcem miejsce naznaczone przez Zillę, zapytał:

— Powiedz mi, co to znaczy?

Marota przeczytała i bez namysłu przetłomaczyła wskazane sobie zapiski.

Tłomaczenie jej zgadzało się co do słowa prawie z tamtem.

Cyrano zamknął księgę i rzekł z uśmiechem:

— Tak to znaczy rzeczywiście to samo. Dziękuję ci.

Wkrótce potem sławetny Gonin ujrzał poetę wychodzącego z mieszkania. Castillan siedział w izbie gościnnej i zajadał z apetytem śniadanie.

— Idę do hrabiego — oznajmił w swemu sekretarzowi poeta. — Nie wychodź przed mym powrotem i czuwaj nad tem, aby twej protegowanej na niczem nie zbywało.

— Bądź spokojny, mistrzu — pośpieszył zapewnić Castillan z zapałem, który na usta Cyrana sprowadził uśmiech znaczący.

Gdy poeta przybył do pałacu hrabiego de Lembrat, gdzie ze względu na wczesną porę, spodziewał się napewno zastać Rolanda, dowiedział się ze zdziwieniem, że wyszedł on już z domu.

— Gdzież mógłbym znaleść hrabiego? — zapytał.

— Najpewniej u margrabiego de Faventines — odpowiedziano.

Sawiniusz zwrócił kroki w stronę wyspy św. Ludwika. Ani chwili nie chciał stracić napróżno.

Roland znajdował się tam rzeczywiście. Poeta znalazł też w wielkim salonie Gilbertę i jej matkę.

Gdy służący oznajmił Cyrana, hrabia pobladł okropnie, Gilberta zaś nie mogła powstrzymać okrzyku radośnego zdziwienia.

Poeta wszedł do salonu z uśmiechem na ustach i przywitawszy damy, oraz uścisnąwszy rękę margrabiego, zwrócił się, wciąż uśmiechnięty, do Rolanda

— I cóż? — rzekł — nie oczekiwałeś mnie zapewne, mój druhu serdeczny?

— Cieszę się, że cię widzę w dobrem zdrowiu — wyjąkał hrabia, nie wiedząc prawie, co mówi.

— Więc zdrowie moje aż tak bardzo cię obchodzi? Jesteś doprawdy zbyt dobry. Ale w niemniejszym zapewne stopniu jesteś ciekawy szczegółów mojej podróży. Jeśli chcesz, opowiem ci je.

— Tu? — zapytał Roland niespokojnie.

— Nie; panie znudziłyby się słuchając.

— Kiedy bo... — wykręcał się hrabia — trudno mi w tej chwili poświęcić ci tyle czasu, ile ta rzecz wymaga.

— W istocie — przybył mu z pomocą margrabia, który przewidywał jakieś starcie i zapobiedz mu pragnął — pan de Lembrat był łaskaw poświęcić nam cały dzień dzisiejszy. Liczymy, że i ty, kochany Sawiniuszu, dotrzymasz nam towarzystwa.

— Jeśli hrabia przyjął to zobowiązanie, niegrzecznie byłoby zmuszać go do niesłowności. Pozostanę więc i ja, kochany margrabio, skoro życzysz sobie tego.

Przy tych słowach posłał znaczące spojrzenie Rolandowi.

Od tej chwili pomiędzy gośćmi nie zostało zamienione ani jedno słowo z tem zeznaniem, jakiego obawiał się margrabia.

Sawiniusz był przez cały czas, czem bywał zawsze w towarzystwie: wesołym, uprzejmym, dowcipnym.

Przy obiedzie, do którego prócz dwóch młodzieńców, zasiadło kilka osób z rodziny margrabiego, Cyranowi dostało się miejsce obok Gilberty.

— Kiedyż ślub? — zapytał przyciszonym głosem, korzystając z gwarnej rozmowy współbiesiadników.

— Za dwa tygodnie! — odrzekła również szeptem Gilberta.

— Pani przystałaś?

— Nie! Czyni się to wbrew mojej woli.

— Bądź pani spokojną. Zaślubisz Manuela. Ja pani za to ręczam.

Głębokie spojrzenie było całą odpowiedzią Gilberty.

Hrabia zatopiony w myślach nie zauważył tej rozmowy.

— Co porabia to bydlę Rinaldo?— zapytywał on siebie. — Jakie ma zamiary Cyrano? Oszczędza mnie, to widoczne; ale czy ta jego powściągliwość będzie trwała dość długo, abym mógł albo ujść przed nim, albo też raz jeszcze go pokonać?

Przy końcu biesiady Cyrano i Roland znów znaleźli się z sobą.

— Jak widzisz hrabio — szydził poeta — nie chcę zamącać ci przyjemności zabawy. Musimy jednak pomówić z sobą. Jaką godzinę będziesz łaskaw wskazać mi w tym celu?

Roland pragnął zyskać na czasie.

— Dziś wieczorem u mnie w domu — odrzekł.

— Zgoda; choć wolałbym prędzej.

— Czekać cię będę o ósmej — dodał Roland ze szczególną miną.

Jakiś nowy, nikczemny zamiar wykluwał się w umyśle hrabiego.

Cyrano odgadł go może, gdyż oświadczył:

— Chciałbym z serca oszczędzić ci kłopotu jakichś nowych powikłań. I dlatego, zamiast

udać się do ciebie, będę cię oczekiwał w mojem skromnem mieszkanku.

— Jak chcesz — odparł sucho hrabia.

Te kilka słów, w których czuć było zapowiedź walki, wymówione zostały w przytomności margrabiego.

— Bądź punktualny, radzę ci — zakończył Cyrano. — Jutro rano nicbym ci już nie miał do powiedzenia.

X.

Była właśnie ósma, gdy Roland, ze ścisłością, świadczącą w równym stopniu o jego niecierpliwości i obawie, zapukał do drzwi Cyrana.

Poeta, zajęty rozmową z Sulpicyuszem, oddalił natychmiast tego ostatniego i poprosił gościa by usiadł.

— Unikajmy słów zbytecznych — oświadczył zaraz na wstępie. — Nie mam zamiaru odwoływać się do twej szlachetności, pragnę tylko po prostu: oznajmić ci, jaki jest obecny stan twojej sprawy, zarazem ocalić od hańby nazwisko, które nosisz. Da się to jeszcze zrobić, jeśli, naturalnie, będziesz życzył sobie tego.

— Wstęp bardzo uroczysty — spróbował zażartować — Roland — na nieszczęście, niedość jasny, aby się obyć mógł bez bliższego wyjaśnienia.

— Bardzo słuszna uwaga. Wyjaśnienie żąda-

ne zaraz otrzymasz. Brat twój musi być natychmiast wypuszczony na wolność.

— Chciałeś zapewne powiedzieć: Manuel? — poprawił Roland.

— Nie przerywaj. Powiedziałem: brat i słowa tego nie cofam. Otóż brat twój musi być wolny. Jeżeli znajduje się on dotąd jeszcze w Chatelet, to dlatego jedynie, że chciałem tobie dać czas do upamiętania się, do wyznania swej winy i... wynagrodzenia jej w potrzebie.

— Czego pan życzysz sobie odemnie? albo raczej: czem mi pan chcesz grozić?

— Żądam kilku słów pod adresem starosty, słów, które byłyby przyznaniem się do omyłki — zwracam twą uwagę, że nie mówię o zbrodni, do ostatniej bowiem chwili chciałbym cię oszczędzać — następnie: wyraźnego i stanowczego potwierdzenia wszystkich praw Manuela — co jemu powróciłoby wolność i dobre imię, tobie zaś zapewniło bezpieczeństwo i spokój sumienia. Co się tyczy środków, jakie mam przeciw tobie, dowiesz się o nich niebawem. Tymczasem odpowiedz.

— Odpowiedź moją słyszałeś pan już przy innej sposobności. Nie uznaję Manuela za swego brata; nie napiszę przyznania się, którego odemnie żądasz.

— Przewidziałem to. A więc wysłuchaj mnie, Rolandzie. Manuel jest twoim bratem; wiesz o tem dobrze, gdyż dowód, stwierdzający jego pochodzenie, czytałeś w księdze Ben Joela.

Hrabia wzruszył ramionami.

— Ta księga nie istnieje.

— Wybacz. Mylisz się. Oto ona.

— Sawiniusz podsunął pod oczy hrabiego dokument, dostarczony sobie przez Zillę.

Zaraz też cofnął rękę i umieścił księgę w przyzwoitem oddaleniu od Rolanda.

Hrabia pobladł z gniewu i napróżno usiłował wyjąkać zaprzeczenie.

Oczy jego z wyrazem nagłego ogłupienia zwróciły się na Cyrana.

Poeta mówił dalej, zdając się nie spostrzegać zmieszania Rolanda.

— Posiadam prócz tego zeznanie piśmienne twego ojca. Jeśli znajduje się ono w moich rękach, nie są temu winni twoi wysłańcy, którzy czynili wszystko, co było w ich mocy, aby temu zapobiedz. Niestety! nie powiodło im się zupełnie i twój wierny Rinaldo ciężko przepłacił swe przemądre sztuczki.

— Czy sądzisz pan, że Rinaldo jest twoim wrogiem?

— Mówmy w czasie przeszłym. Ja sądzę, że nim był...

— A teraz?

— Teraz wszystko mi już jedno — rzekł poeta obojętnie. — Rinaldo nie żyje.

— Nie żyje! — wykrzyknął Roland.

— Przeniósł się do lepszego świata, pozostawiwszy mi tę oto pamiątkę, jako dowód wiernego aż do końca spełnienia obowiązków.

I Cyrano, dotykając palcem policzka, pokazał hrabiemu czerwoną jeszcze dotąd kresę, którą wypisała mu na twarzy kula Rinalda.

— Nie żyje! — powtórzył hrabia przygnębiony.

— Opowiedziałem ci już kiedyś szczegóły, odnoszące się do twego urodzenia, czy chcesz, abym ci je teraz odczytał wprost z piśmiennego dowodu? Jest on u mnie, zapisany od początku

do końca ręką starego hrabiego. Trzeba zgodzić się z rzeczywistością: jesteś mój kochany, Rogacz, a nie Lembrat. Jutro cały Paryż i dwór dowiedzą się o tem, jeżeli będziesz się upierał i odmówisz zadośćuczynienia, którego żądam od ciebie.

— Mów ciszej — rzekł hrabia tonem prawie błagalnym. — Zdaję się na twą łaskę.

— A! ustępujesz zatem nareszcie! Czynisz bardzo roztropnie.

— Skończmy! Czegoż żądasz w zamian za milczenie?

— Przygotowane są już na stole: papier i pióro. Siadaj i pisz. Ja będę dyktował.

Hrabia napół bezwładny, upadł na krzesło, stojące przy stole, wziął pióro i czekał.

"Przyznaję — dyktował Cyrano — że miałem w rękach wszystkie dowody tożsamości mego brata, zamkniętego w tej chwili w więzieniu w Chatelet pod imieniem Manuela i oświadczam, że wszystkie świadectwa, przeciw niemu skierowane, są kłamliwe, wymuszone gwałtem lub podstępem"

—Ależ, pisząc to, okrywam się hańbą! — zawołał Roland.

— Kończ i podpisz się. Oświadczenie twoje nie wyjdzie po za ścisłe koło osób, należących do rodziny. Prócz nich, przeczyta je tylko starosta, któremu pokazać je muszę. Ale z tej strony niczego obawiać się nie potrzebujesz. Jan de Lamothe jest najpierw twoim przyjacielem, następnie, wstydząc się tak grubej pomyłki, sam, dla własnego dobra, będzie się starał utrzymać wszystko w jak największej tajemnicy.

— Masz zatem, czego żądasz. Ale wzamian oddaj mi pismo mego ojca, oraz księgę Ben Joela.

— O! nie, panie de Lembrat. Byłaby to zbyt wielka niedorzeczność! W dniu, w którym Manuel odzyska swe prawa i majątek, mógłbyś kazać go zamordować. Muszę mieć w ręku uzdę, która cię poskromi.

— Poprzestań pan na poniżaniu mnie, ale mie nie zobelżaj. Jeśli zatrzymujesz przy sobie wszystkie dowody, jeśli będziesz mógł rozgłosić przed światem moje pochodzenie, gdy ci przyjdzie do tego ochota — świadectwo, które wydałem ci przed chwilą, jest najzupełniej niepotrzebne. Zwróć mi je.

— Zapomniałeś o jednem. Ja mogę umrzeć. Swiadectwo to zabezpiecza spokój twego brata. Jemu je doręczę. W obecnych okolicznościach nie można być zanadto ostrożnym i przewidującym.

— Jednakże...

— Posłuchaj. Czy wolałbyś, abym doręczył Manuelowi testament twojego ojca? Duma twoja pozwoliłaby na to?

— Dość. Na wszystko masz odpowiedź. Poddaję się. Spełnij pan do końca swe dzieło. Uwolnij Manuela.

— Noc zapadła. Zapóźno już na kołatanie do wrót więziennych. Ale jutro, zanim jeszcze pierwsze kury zapieją, bądź pewny, że brat twój wyjdzie na wolność. A! wyobrażam sobie, jak okrutnie zdziwi się imcipan de Lamothe, gdy go tak rano wyciągnę z łóżka, zwiastując mu tę wiadomość. Dobranoc hrabio. Nie chcę przetrzymywać cię nad miarę i potrzebę.

Roland opuścił mieszkanie poety i wybiegł na ulicę, szalony od gniewu.

Nieopodal czekała nań służba. W otoczeniu

jej udał się prosto do domu, wysilając umysł nad wynalezieniem środka, któryby pozwolił mu wybrnąć z tej matni piekielnej.

Oczywiście sprawa była przegrana. Dwanaście godzin jednak dzieliło go od chwili, w której Cyrano miał udać się do starosty.

W takim przeciągu czasu można zdziałać bardzo wiele, gdy się ma umysł wynalazczy i zdolny do szybkiego działania.

— A! i któż wreszcie uwolni mnie od tego człowieka? — zawołał Roland wchodząc do pałacu.

Cień jakiś zjawił się przed nim, na progu zamkniętych drzwi.

Hrabia poznał Ben Joela.

— Ty! — wyrzekł z radością, jakby znalazł odpowiedź na swoje pytanie.

— Od trzech godzin oczekuję jaśnie pana.

— Chodź za mną.

Służba oddaliła się, odprowadziwszy pana do drzwi jego gabinetu. Roland i cygan pozostali sami.

— Rinaldo zabity, Cyrano żyje.

Takie były pierwsze słowa hrabiego. Mieściła się w nich wymówka, którą bez trudności zrozumiał Ben Joel.

— Ach, jaśnie panie — rzekł płaczliwie — walczyliśmy do ostatniej chwili mężnie i wytrwale. I skoro jaśnie pan wie już, co spotkało biednego Rinalda, musi wiedzieć również, na jakie cuda odwagi zdobywaliśmy się, aby spełnić, co nam przykazano.

— Co mi po tych wiadomościach! Wszystko przepadło!... Chyba, że...

— Że co? — zapytał skwapliwie cygan.

— Że uwolni mnie kto od tego przeklętego Bergeraca — dokończył Roland.

— Jaśnie pan będzie od niego uwolniony.

— Ach, tak — zauważył pogardliwie hrabia — zrobisz mądre przygotowania, jak zawsze do niczego cię one nie doprowadzą.

— Sądzę, że zabrawszy się do dzieła zaraz jutro...

— Tu nie można czekać do jutra. Trzeba działać zaraz, natychmiast, tej nocy jeszcze. Aby śmierć Cyrana korzyść mi jaką przyniosła, musi on zginąć wpierw, zanim się uda do Chatelet. Wybiera się zaś tam o świcie.

— A więc napad może być urządzony na drodze. I byleby tylko napadający znaleźlil się w dostatecznej liczbie...

— Tak, to rzecz najważniejsza. Idź, zbierz swoich kamratów. Wynagrodzę ich hojnie. Uzbrójcie się w noże; szpadami nic nie zdziałacie. To gracz nie lada.

— Kiedy i gdzie mamy stawić się na rozkazy jaśnie pana?

— Twoi towarzysze zatrzymają się na ulicy. Ty przyjdziesz tu sam o trzeciej po północy. Wydam rozkaz służbie, aby cię wpuściła.

— Czy i jasny pan uda się z nami?

— Tak; chcę widzieć was przy robocie.

— A! klnę się na piekło, jaśnie panie! — zawołał na odchodnem cygan — że tym razem odpłacę z lichwą za wszystkie krzywdy swoje i że Kapitan Czart żywcem z rąk naszych nie wyjdzie!

XI.

Objaśnienia, których udzielił Roland Ben Joelowi, były bardzo krótkie. Na podstawie ich cygan w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego hrabia uważa wszystko za przepadłe.

Rozumie się, że w objaśnieniach nie było żadnej wzmianki o testamencie hrabiego de Lembrat. Nic też nie wspomniał Roland — rozmyślnie, czy też przez zapomnienie — o księdze cygańskiej, znajdującej się w rękach Cyrana.

Nie osłabiło to jednak w niczem zaciętości, z jaką Ben Joel przystąpił do zbójeckiej wyprawy na poetę.

Prosto z pałacu hrabiego Rolanda udał się on do domu Cyklopa.

Przed wejściem na górę, odbył drugą naradę z kilkoma łotrami, zgromadzonymi w izbie noclegowej.

Wszystko to byli zbóje i rzezimieszki, oddawna poróżnieni ze sprawiedliwością i nic nie mający do stracenia.

Wezwanie Ben Joela przyjęte zostało przez nich z zapałem.

Sprawa przedstawiała się pod każdym względem świetnie. Przeciwnik był tylko jeden; sprzymierzeńców dziesięciu. Ryzyka nie brano w rachubę, a wynagrodzenie, ofiarowywane przez Ben Joela, mogło było skusić najoporniejszych.

Gdy już zawarto umowę i ułożono warunki wyprawy, cygan polecił kamratom, aby nieco wypoczęli dla nabrania sił potrzebnych, przyrzekając zbudzić ich we właściwej porze.

Zilla, usłyszawszy pukanie do drzwi, sądziła

w pierwszej chwili, że to przybywa poseł od Sawiniusza.

Na widok wchodzącego Ben Joela, doznała bardzo umiarkowanej radości.

Zbój, nie zwracając najmniejszej uwagi na ślady fizycznych i moralnych cierpień, widniejące na twarzy siostry, rzucił się na stołek i rzekł:

— Otóż i ja. Musiałaś być bardzo zaniepokojoną moją nieobecnością.

— Wiele ważnych zdarzeń zaszło w tym czasie, więc co prawda — zapomniałam o tem.

— Jakich zdarzeń?

— Czy zapomniałeś o Manuelu?

— Jakże mogłem zapomnieć? Wszakże to w tej sprawie drogę tę odbyłem.

— Widziałeś się z hrabią?

— Naturalnie.

— Cóż ci powiedziała? Chciał otruć Manuela; czy wiesz o tem?

— Nie chwalił się tem. Ale nie o Manuela chodzi w tej chwili. Teraz na placu Cyrano.

— Cóż chcesz z nim zrobić?

— Dowiesz się jutro.

— Znów jakieś piekielne spiski, znów jakaś zmowa pomiędzy hrabią a tobą! Ben Joelu! kiedy ty się upamiętasz?

Cygan zaczął śmiać się cynicznie.

— Czy doświadczasz wyrzutów sumienia? — rzekł. — A może przestałaś już kochać Manuela?

— Wiesz dobrze, że kocham go nad życie!

— Daj więc pokój kazaniom i nie przeszkadzaj mi w robocie. Ty nie wiesz jeszcze, do czego jest zdolny brat, gdy kocha swą siostrzyczkę, a przytem dba o swoje interesa.

— Nie rozumiem cię, Ben Joelu!

— Posłuchaj zatem. Zwiodłem Cyrana i Manuela, to prawda, ale zwiodłem także hrabiego, pozwalając mu myśleć, że wszystko skończy się z chwilą, gdy jego brat powróci, skąd wyszedł. Gdy już panna de Faventines zostanie panią de Lembrat i gdy Manuel powróciwszy do nas, wyleczy się ze swej głupiej miłości do córki jaśnie welmożnego margrabiego, zajmę się wówczas jego przyszłością i naszym losem.

— Co mówisz, nieszczęsny! Czy sądzisz, że w ten sposób Manuel odzyska wolność?

—Odzyska, gdy tylko hrabia nie będzie potrzebował obawiać się go jako rywala. Wiem ja o tem więcej, niż ty domyślać się możesz. Pozwól mi więc działać.

— Dalej! — szepnęła Zilla, która czuła się mimowiednie pociąganą dowodzeniami brata.

— Manuel przypomni sobie niezawodnie, że kochał ciebie i że ty kochać go nigdy nie przestałaś. Wówczas... ożenię was.

— Ożenisz nas?

— Z największą pewnością. Dopełniwszy zaś tego, udam się do władzy, jak przystało nawróconemu grzesznikowi. Oświadczę, gdzie należy, że pan de Lembrat wymusił na mnie przekupstwem fałszywe zeznanie i że Manuel jest rzeczywiście jego bratem. Zażądają dowodu, który im natychmiast przedstawię. Zechcą też zapewne ukarać mnie za poprzedni fałsz — ale cóż mnie to obchodzi? Posiedzę sobie trochę w więzieniu i na tem koniec. Gdy kto dba o los rodziny, nie zważa na takie drobiazgi. Zapłacisz mi zresztą za nie, zostawszy wicehrabiną de Lembrat. Taki to mój plan, siostruniu; zdaje mi się, że ci przypada do smaku?

Zilla słuchała z głową schyloną. Gdy skończył, podniosła głowę i w oczy mu spojrzała, ramionami wzruszając.

— Twój plan jest niedorzeczny! — rzekła poważnie. — I wówczas tylko nie byłby takim, gdybyś miał możność wprowadzenia go w wykonanie.

— Alboż nie mam tej możności? Księga, którą zachowałem w ukryciu przed wszystkimi i której wydania odmówiłem tak samo hrabiemu, jak Cyranowi, dostarczy mi dowodu, którego nikt nie będzie mógł podać w podejrzenie.

Zilla wiedziała, że jedno jej słowo wystarczy do obrócenia w niwecz wszystkich rojeń brata, ale że zbudzi ono zarazem w jego umyśle burzę straszliwą.

Nie zawahała się jednak stawić mu odważnie czoła.

Wargi jej zacięły się mocno silnym, nerwowym kurczem. Chciała być, za wszystką cenę spokojną, i udało się jej to.

— Ben Joelu — rzekła — księgi, o której mówisz, już tu nie ma.

— Zabrano ci ją! — ryknął cygan.

— Nie. Sama ją dałam!

— Ty?

— Dałam ją panu de Cyrano.

— Nędznico!

Zbój, wściekłym gniewem uniesiony, rzucił się na siostrę z podniesioną pięścią.

Nie drgnęła nawet i tylko oczy, pełne błyskawic, utkwiła w oczach cygana, powtrzymując go w miejscu, magnetyczną siłą.

Ręka mu opadła; uczuł się pokonanym.

— Dlaczegoś to zrobiła? — syknął przez zaciśnięte zęby.

— Bo obrzydły mi twe wszystkie zbrodnie; bom uczyniła ofiarę ze swej miłości; bo postanowiłam ocalić Manuela.

— I w tym celu podałaś do ręki broń memu śmiertelnemu wrogowi?

— Pan de Cyrano nie jest twym wrogiem. Jeśli go nienawidzisz, to dlatego jedynie, że czujesz się gorszym, i słabszym od niego.

— A! to tak? — wykrzyknął cygan. — Dowiedzże się zatem, moja panno, że twój piękny kapitan będzie trupem jutro rano i że Manuel zginie wpierw w więzieniu, zanim ja zakłopoczę się jego losem. A księgę, którą mi skradłaś, jeszcze dzisiejszej nocy odbiorę.

— Dzisiejszej nocy! — wyjąkała Zilla. Otóż to ta świeża zbrodnia, o której przed chwilą rozmyślałeś!

— Nazywaj to sobie zbrodnią, dla mnie jest to tylko zemsta. Zanim ukaże się jutrzejsze słońce, wszystko się skończy.

— Nie! — odparła Zilla, rzucając się do drzwi — gdyż zanim ukaże się słońce, ja również wystąpię do walki — i wszystko wyjawię.

Ale szybszy od słabej dziewczyny Ben Joel zdążył uprzedzić ją i zagrodził jej sobą wyjście.

— Puść mnie! — ostrzegła cyganka, dobywając zatrutego sztyleta, z którym się nigdy nie rozstawała.

Ben Jel, zawsze ostrożny, nie stanął do walki, bezużytecznej zresztą, gdyż był panem położenia.

Jako ostatnią pogróżkę i jako ostatnią obel-

ge, cisnął on w twarz Zilli śmiech szatański, szyderski, pchnął drzwi, wybiegł i na dwa spusty zamknął cygankę w mieszkaniu.

Nie poprzestając na tem, wyciągnął z zamku klucz, i schował go do kieszeni,a następnie przyciągnął kilka mebli z ubocznej izby i drzwi niemi zabarykadował.

Podczas tej czynności, która trwała około dziesięciu minut, Zilla nie przestawała kaleczyć sobie rąk o dębowe, gwoździami najeżone deski, usiłując tę zaporę otworzyć lub wyłamać.

Głos jej, naprzemian gniewny i błagający, dobiegał nieustannie do uszu Ben Joela, który jednak, zdawał się go nie słyszeć.

Gdy ukończył barykadę, zeszedł na palcach na dół, zbudził swych ludzi i zanurzył się wraz z nimi w ciemnościach nocy.

Tegoż samego wieczora, tak obfitego w wypadki, Manuel otrzymał niespodzianie odwiedziny starosty.

— Czy zdecydowałeś się nareszcie przyznać do winy? — zapytał surowo Jan de Lamothe.

— Dziś mniej, niż kiedykolwiek, myślę o tem. Będę mówił przed sędziami — nie dla przyznania się do zbrodni, której nie popełniłem, lecz dla odparcia oszczerstw hrabiego Rolanda de Lembrat.

— Strzeż się, Manuelu; wstępujesz na drogę bardzo niebiezpieczną. Jutro staniesz przed trybunałem oskarżającym. Szczere przyznanie się do wszystkiego, połączone ze skruchą i żalem, złagodzić może cokolwiek karę, która cię czeka. Opór, przeciwnie, stanie się dla ciebie fatalnym.

— Czegoż mogę się jeszcze obawiać?

— Tortór! — przemówił starosta tonem poważnym i groźnym.

— Możecie torturować mnie aż do pozbawienia życia — odpowiedział Manuel spokojnie — nie wymusicie na mnie ani jednego słowa, niegodnego z prawdą.

De Lamothe pokręcił głową i wyszedł z więzienia, mrucząc sobie:

— Wszyscy oni tak mówią. Gdyby im zawierzyć, okazałoby się pewnie, że więzienia zapełnione są samemi niewiniątkami.

XII.

W zajeździe sławetnego Gonina rozmawiali z sobą Marota i Sulpicyusz. Było to w tym samym czasie, gdy Cyrano zniewalał Rolanda do podpisania wiadomego aktu.

Po raz pierwszy dopiero po przyjeździe sekretarz i tancerka znaleźli się sam na sam i mogli porozumiewać bez obawy żarcików Sawiniusza i natrętnej ciekawości gospodyni.

Sulpicyusz usiadł naprzeciw Maroty przy jednym ze stołów izby gościnnej i podczas, gdy Jespan Gonin drzemał w kącie, oboje młodzi wyjawiali sobie wzajem swoje myśli i projekty.

— Panie Castillanie — odezwała się wreszcie tancerka — jutro rano muszę już podziękować panu deCyrano za gościnność i pożegnać was wszystkich.

— Już jutro? To być nie może!

— Może być i być musi. Nie mogę tu przecie mieszkać. To było dobre w pierwszej chwili po przyjeździe; teraz już jednak wypada mi wracać do swoich.

— Gdzież oni są? — zapytał Sulpicyusz z pewnym niepokojem.

— Zapewne w Paryżu. Gdym opuszczała towarzystwo nasze w Orleanie, dyrektor mówił mi, że zamierza na najbliższy jarmark przybyć do stolicy.

— Czy ten rodzaj życia nęci cię jeszcze, Maroto?

— A jakiż inny może się z nim równać pod względem wesołości i swobody?

— Ależ, mała niewdzięcznico!— szepnął Castillan, ujmując rękę dziewczyny i silnie ją ściskając — czyż zapomniałaś, że ja cię kocham!

— I ja cię kocham — odrzekła tancerka z uśmiechem na ustach — i spodziewam się, że o tem nie wątpisz?

— Jakże nie mam wątpić, skoro mówisz, że mnie porzucisz! Ach Maroto, będziesz przyczyną mojej śmierci.

— Cóż chcesz zatem abym zrobiła?

— Abyś pozostała.

— Cóż znów! — zawołała cyganka, uderzając nogą z niecierpliwości. — To niepodobna! Bo pytam, czy mógłbyś mnie poślubić?

Castillan przez długą chwilę nie mógł zdobyć się na odpowiedź.

Nigdy nie zadawał sobie jeszcze tego pytania.

Marota przerwała pierwsza milczenie.

— Jestem szczera — rzekła i wiem, czego mam prawo spodziewać się. Nie poślubia się ta-

kich dziewczyn, jak ja. Choćbyś ty nawet chciał tego, ja musiałabym odmówić. Wiem też, że gdy zajdzie konieczność zerwania tego związku, ty uczynić tego nie potrafisz.

Znam się na tych rzeczach lepiej od ciebie.

— Nie! ty mnie nie kochasz! — poskarżył się Castlilan, pragnąc, aby rozmowa inny kierunek przybrała.

— Jeszcze! Słuchajże, co ci powiem. Nie jesteś dzieckiem i potrafisz mnie zrozumieć.

Był raz mały pazik, który nosił, nie pomnę już, jakie imię, ale którego główka była równie żywa, jak serce poczciwe.

Pewnego dnia, przechodząc ścieżką między zbożem pazik ten usłyszał śpiewającego prześlicznie skowronka.

Ptaszek zerwał się za nadejściem chłopca i wysoko, aż pod samo niebo, uniósł swe najpiękniejsze tony; pazik zaś zapragnął koniecznie go posiąść.

Przyzywał ptaszynę głosem tak miłym, aż sfrunęła z wysokości i usiadła tuż przy nim.

Chłopiec zbliżył się ostrożnie i ukląkł na murawie, która rosła na brzegu ścieżki.

O kilka kroków od niego, skowronek skakał wśród zboża, lekki i wesoły, nie czując żadnej trwogi wobec chłopca; ptaszki bowiem posiadają instynkt, który ich nigdy nie zawodzi, ten zaś ptaszek odgadł od razu, że mu nie chcą żadnej krzywdy wyrządzić.

Pazik wyciągnął zwolna rękę i skowronek pozwolił się pochwycić.

Serduszko ptaszyny biło szybko pod rękę chłopca — nie ze strachu jednak bynajmniej.

Wszakże wiedział skowronek, że jedno poruszenie skrzydełek może przywrócić mu wolność i unieść go daleko od pazia.

Chłopiec wziął ptaszka z sobą, dumny ze swej zdobyczy nakarmił go świeżą wodą i ziarnem, i dużo czasu spędził na głaskaniu jego piórek, miękkich, jak jedwab, oraz na pokrywaniu pocałunkami jego główki malutkiej.

Skowronek, rychło oswoiwszy się, podlatywał wesoło i śpiewał pazikowi swe najpiękniejsze piosneczki.

Trwało to długo.

Chłopiec i ptaszyna zdawali się być nierozłączeni.

A że zawsze dwie istoty tak zespolone z sobą, rozumieją się nawzajem, choćby nawet nie rozmawiały, więc i ta para wyjawiła sobie uczucia serce jej przepełniające.

Przyszedł jednak taki dzień, że chłopiec zapłakał. Dorozumiał się on tego dnia, że ptaszek chce go opuścić.

Ponieważ dłuższe przetrzymywanie go w zamknięciu, groziłoby mu może śmiercią, paź otworzył okno i pozwolił ptaszkowi ulecieć na pola, słońcem ozłocone.

Sądził, że się już z nim nigdy nie zobaczy.

Ale ptaszek nie był ani niegrzeczny ani łatwo przyjaciół swych zapominający.

W chłodny poranek październikowy, gdy paź przechadzał się po wsi, usłyszał niespodzianie tuż przy sobie szelest skrzydełek i krzyki wesołe.

Skowronek spostrzegł go z wysokości i sfrunął, aby mu usiąść na ramiona.

Przez cały dzień ptaszyna nie opuszczała

chłopca, obdarzając go, jak dawniej, piosnkami i pieszczotami.

Następnie, za nadejściem wieczora, znów u-leciała daleko.

Nadeszła zima. Paź siedział sam w pokoju przyglądając się przez szyby śniegowi, który padał gęstemi białemi płatkami, nakształt kwiecia migdałowego. Nagle, z pobliskiego pola, przyleciał ptaszek jakiś, usiadł za oknem i dzióbkiem w szybę zapukał.

Był to ten sam skowronek.

Paź otworzył z pośpiechem okno i gorącymi pocałunkami ogrzał zziębłą ptaszynę. Od tego dnia przestał być smutnym.

Skowronek opuszczał go, ale on wiedział, że powróci.

I w tej ciągłej nadziei, w tem szczęściu, z nieustannych niespodzianek złożonem, było wiele uroku, więcej może, niżby go mieściło w sobie całkowite i ciągłe posiadanie.

. . . .

Gdy Marota skończyła tę bajeczkę, którą wypowiedziała najczulszym, najmelodyjniejszym głosem, spojrzała na Castillana.

Młodzieniec miał łzy w oczach.

Marota wyciągnęła doń rękę, na którą upadły gorące łzy Sulpicyusza.

— Czego płaczesz, paziu najmilszy? — spytała ze smutnym uśmiechem. — Skowronek powróci.

— Naprawdę powróci?

— Przysięgam w jego imieniu.

Z tonu jakim słowa te zostały wypowiedziane, Castillan zrozumiał, że Marota go nie zwodzi.

Uśmiech zabłysnął na jego twarzy, wilgotnej jeszcze od łez.

— Kiedy odjedziesz? — zapytał.

— O wschodzie słońca.

— Odprowadzę cię.

— I owszem. Dobranoc, Sulpicyuszu.

— Dobranoc Maroto — westchnął młodzieniec.

I rozstali się w chwili, gdy jespan Gonin, skończywszy swoją drzemkę, zabierał się do zaryglowania drzwi czołowych.

———

XIII.

Hałastra, prowadzona przez Ben Joela, przybyła przed pałac hrabiego Rolanda.

Było już po drugiej w nocy.

Cygan pozostawił zbirów na ulicy, a sam zapukał do furty pałacowej, którą mu zaraz otworzono.

Towarzysze BenJoela byli zbieraniną najróżnorodniejszych istot wykolejonych. Gotowi na wszystko jednego tylko kłopotu doświadczali w tej chwili, czy ich nie nimie umówiona zapłata? Cygan podrażnił chciwość ich świetnemi przeczeniami, nie widzieli jednak dotąd ani jednego srebrnika, któryby był zaliczką za spodziewane dukaty.

Postanowili oni natrzeć ostro na Ben Joela, gdy się tylko zjawi.

Była godzina trzecia po północy, gdy cygan ukazał się z powrotem, w towarzystwie człowieka, szczelnie w czarny płaszcz zawiniętego.

Wiemy już, że tym człowiekiem był Roland. Zbójców nic on nie obchodził, mieli bowiem rachunki wyłącznie z Ben Joelem.

Ten ostatni, odgadując myśli kamratów, nie czekał, aż wystąpią głośno ze swemi żądaniami. Zadzwonił kiesą pełną złota i stając w pośrodku bandy, rzekł:

— Słuchajcie, chłopcy! Zanim przyjdzie chwila stanowcza, musicie być uprzedzeni, z kim będziecie mieli do czynienia. Człowiek, z którym mamy walczyć, jest przeciwnik nie lada jaki. Dość będzie, gdy wam powiem, że to Kapitan Czart we własnej osobie. Niema pewnie między wami ani jednego, któryby o nim nie słyszał. Jeśli który czuje, że słabnie jego odwaga, może cofnąć się. Jeszcze czas na to.

Gwar rozmów dał się słyszeć w gromadzie. Nikt jednak nie objawił chęci do odwrotu.

Zbóje policzyli się i uznali widocznie, że liczba ich jest dostateczna do wytrzymania zamierzonej walki.

— To dobrze — podjął Ben Joel. — Niema u was tchórza. Występujcie więc, jeden po drugim; będę wypłacał umówione wynagrodzenie.

I zagłębiając rękę w worku, wydostał dziewięć, zawczasu odliczonych działów, które rozdał zbójom.

Swoją część schował wcześniej jeszcze do kieszeni. Rozumie się, że była to część lwia.

Roland de Lembrat, ukryty w cieniu, towarzyszył tej scenie, ust nie otwierając.

Na znak, dany przez cygana, banda ruszyła w pochód. Posuwano się krokiem wolnym, gdyż panowała jeszcze zupełna ciemność, ten zaś, na którego czekano, pojawić się miał dopiero o pierwszym brzasku dnia.

Nieopodal bramy Nestle Ben Joel kazał zbirom stanąć.

Przez tę właśnie bramę Cyrano, mieszkający w dzielnicy Saint-Germain, musiał koniecznie przechodzić.

— Tu zaczekajmy — doradził Ben Joel Rolandowi. — Przejście jest wązkie; prócz tego znajdujemy się na brzegach Sekwany. Będziemy mogli pozbyć się łatwo trupa, wrzuciwszy go do rzeki.

— Masz słuszność. Ustaw ludzi swoich w ten sposób, aby Bergerac został w jednej chwili otoczony.

Miejscem, przeznaczonem na natarcie był róg ulicy.

Na murze jednego z domów, róg ten tworzących, płonęła we wnęce lampka, oświetlając słabo figurę Matki Boskiej.

Wprost tego domu, na brzegu Sekwany, leżała duża kupa gruzów, jakby umyślnie przygotowanych, aby zapewnić bezpieczne schronienie zbrodniarzom.

Ben Joel ustawił po trzech ludzi z każdej strony ulicy.

Trzej pozostali zostali wysłani na zwiady w kierunku bramy Nesle.

Wszystkich tych przygotowań dokonano w największej cichości.

Następnie Ben Joel powrócił do hrabiego.

— Czy pan hrabia jest pewny, że Cyrano przybędzie przez tę bramę? — zapytał.

— Jak najpewniejszy. Mieszka on niedaleko ztąd i niema innej drogi przed sobą, chyba gdyby chciał przebyć Sekwanę powyżej Luwru, co jednak trudno przypuszczać. Czy można ufać twoim ludziom, że ściśle wypełnią rozkazy?

— Niech jasny pan będzie spokojny. Kapitan Czart choćby był czartem we własnej osobie, nie wyśliznie się nam. Pierwszy cios z mojej ręki otrzyma.

— Musi to być zrobione szybko. Jeśli nie znajdziemy przy Cyranie tego, co mi potrzebne, będziemy musieli wziąć szturmem jego mieszkanie!

— O! — zauważył Ben Joel — to nie byłoby bardzo roztropnie.

— Tak chcę i tak być musi — rzekł wyniośle Roland. — Jeżeli brama stawi nam opór, podpalimy dom!

Cygan nic nie odpowiedział.

Pochylił się on ku ziemi i nadsłuchiwał.

Do uszu Rolanda najlżejszy szmer nie dochodził, ale Ben Joel, który miał słuch o wiele delikatniejszy, pochwycił stuk kopyt końskich na bruku, rozlegający się w bardzo znacznem jeszcze oddaleniu.

Gwiazdy zaczynały gasnąć i na wschodzie, ponad dachami milczącego miasta, niebo zlekka się rozjaśniało.

Jeden z ludzi, wysłanych na zwiady nadbiegł szybko.

— Cóż tam? — spytał Roland.

— Jeździec jakiś zmierza w tę stronę.

— Sam?

— Zapewne sam.

— Nie poznałeś, kto to taki?

— Zbyt ciemno jeszcze.

— To on bezwątpienia — rzekł Ben Joel. — Ja udam się naprzód, wy bądźcie gotowi.

Cygan pobiegł ku bramie Nesle i przyczaił się, aby zobaczyć przybywającego jeźdźca.

— To on, w samej rzeczy — szepnął do siebie.

— Naprzód! — rzucił przyciszonym głosem rozkaz zbójom, którzy się z nim połączyli.

Następnie jednym skokiem znalazł się przy wierzchowcu poety i chwycił go silnie za chrapy.

Kon szarpnął się gwałtownie w tył, a Cyrano, wyciągając z olstra pistolet, krzyknął:

— Na bok, łajdaku, bo strzelę!

— Hura na Kapitana Czarta! Do mnie! do mnie! — wrzasnął cygan.

Wszyscy zbóje wystąpili, zagradzając drogę poecie. Roland tylko pozostał w cieniu, oczekując końca walki.

— Zasadzka? — zawołał Cyrano, śmiejąc się szyderczo. — Hrabia, jak widzę, nie traci czasu. Z drogi, hołota!

I nie ostrzegając już tym razem, wystrzelił.

Jeden ze zbójów powalił się na ziemię z roztrzaskaną głową.

— Giń! krzyknął cygan i z nadstawionym nożem rzucił się, jak tygrys, na Cyrana.

Sawiniusz odbił cios i ze wszystkich stron naciskany, zeskoczył z konia, aby mógł walczyć swobodniej.

W jego ręce błysnęła szpada i tą szpadą, którą władał po mistrzowsku, szybko oczyścił plac przed sobą.

W tej chwili kilka kul świstnęło mu koło ucha. To czat prawdziwy! mruknął Ben Joel,

wściekły z gniewu, widząc, że żaden ze strzałów nie dosięgnął Cyrana.

I dobywszy rapiera, natarł raz jeszcze na poetę. Cyrano broniąc się tylu naraz przeciwnikom, nie był w stanie przewidzieć wszystkich ciosów. Szpada cygana przeszyła mu prawe ramię.

— Dostał! — wrzasnął tryumfująco uradowany zbój.

— Druga ręka cała! odparł drwiąco poeta.

Z błyskawiczną szybkością przerzucił szpadę z prawej ręki do lewej, smagnął nią cygana przez twarz, a drugim sztychem przebił mu piersi na wylot.

Zbój wyciągnął ręce i padł, jak gromem rażony.

— Zabity! dowódca zabity! — odezwał się głos w tłumie. — Zmykaj, kto w Boga wierzy!

Widząc uciekających w popłochu zbójców, Roland wystąpił naprzód, trzymając w każdej ręce pistolet i zmierzył do Cyrana.

Dwa wystrzały huknęły, w jednym prawie czasie.

Sawiniusz w przekonaniu, że to wystrzelił któryś z uciekających, popędził za nimi ze szpadą w ręce, aż do mostu Nesle.

Ale łotry zmykali, jakby im kto skrzydła przyprawił.

Po chwili Cyrano ujrzał się sam jeden na placu.

— Drapnęli! — rzekł pogardliwie. — Musiano im nędznie zapłacić.

Wrócił na dawne miejsce i gwizdnął na konia, który, przywykły do tego wezwania, podniósł łeb i zarżał.

— Gotów ujść! — szepnął do siebie Roland, ukryty o kilka kroków zaledwie od poety.

Ten ostatni, nie mając już z kim walczyć, zajął się tamowaniem krwi, która płynęła obficie z rany, stopniowo go osłabiając.

Roland śledził jego poruszenia, przemyśliwając w ostatniej jeszcze chwili, czem pokonać przeciwnika.

Hrabia nie wziął z sobą szpady, licząc, że nie będzie potrzebna. Pistolety jego były wystrzelone. Ujrzał się zatem bezradnym w chwili, gdy mu najmocniejszym być wypadało. Podczas, gdy Cyrano zajęty był owiązywaniem chustką krwawiącej rany, hrabia obszedł ostrożnie dokoła miejsce, na którem stał poeta i ukrył się za sztucznym szańcem gruzów, leżących nad rzeką.

Tam błysnęła mu w głowie myśl nagła.

Pochwycił ciężki kamień — broń bezwątpienia niedogodną i niewystarczającą, ale jedyną, jaka mu pozostawała — i z większem jeszcze natężeniem jął śledzić przeciwnika.

Mógł mu przyjść z pomocą przypadek, mogła nastręczyć się niespodziana sposobność ugodzenia Cyrana z ukrycia — Roland liczył na to i czekał.

Gdy Sawiniusz uczuł się nieco pokrzepionym, zbliżył się do konia, aby go dosiąść i udać się w dalszą drogę.

Końce opuszczonych w czasie walki cugli leżały na ziemi.

Cyrano schylił się, aby je podnieść i rozplątać.

Z tej chwili skorzystał Roland.

Jednym skokiem znalazł się przy nim z podniesionym kamieniem i z całej siły ugodził go nim w głowę.

Poeta otrzymawszy straszny cios z tyłu, wydał głuchy jęk i runął bezwładnie na bruk.

— Trup! trup! — szeptał z szatańską uciechą hrabia.

Rzucił się na ciało Cyrana, którego głowa leżała w kałuży krwi, i jął szukać drżącą gorączkowo ręką.

Na piersiach poety, pod kaftanem, znalazł od razu, co mu było potrzebne; księgę Ben Joela, testament hrabiego de Lembrat i własne zeznanie, spisane ostatniego wieczora, to znaczy wszystkie dowody, których istnienia tak okropnie się lękał.

Zabrawszy je, podźwignął za ramiona bezwładne ciało, zaciągnął aż na brzeg Sekwany i rzucił w rzekę.

Potem, jak zwykły opryszek uciekł pędem na ulicę św. Pawła, przyciskając do piersi skarb, za cenę zbrodni nabyty.

Na miejscu walki pozostał tylko trup Ben Joela oraz jednego ze zbójców.

Koń Cyrana, przerażony ostatnim jękiem swego pana; pogalopował, jak szalony w stronę zajazdu.

Tymczasem weszło słońce. Straż miejska przybyła na miejsce walki od strony Nowego Mostu. Zjawiło się tam niebawem i kilku wczesnych przechodniów, którzy zatrzymali się, oglądając ciekawie zabitych. Prawie w tejże chwili przez bramę Nesle przechodzili Castillan i Marota. Tancerka uwieszona na ramieniu młodzieńca, mówiła mu coś przyciszonym głosem, z uśmiechem na ustach, z pełnemi czułości oczyma.

Zbliżyli się w ten sposób do grupy, utworzonej z pachołków, i gapiów.

Castillan rozpoznał od razu łotrowskie oblicze Ben Joela.

— Co tu zaszło? — spytał.

— Niewiadomo. Leżą dwa trupy i tyle.

Podczas, gdy straż unosiła ciała zabitych, Castillan jął rozpatrywać, miejsce walki.

— Ben Joel zabity! — rzekł do Maroty — coś się tu święci nadzwyczajnego. Patrz, widać dokoła ślady licznych stóp, jakby przeszła tędy cała gromada ludzi. Mój mistrz miał wyjść z domu dziś rano. Czy tylko jemu nie przytrafiło się jakie nieszczęście? Wróćmy do zajazdu.

Kończył właśnie te słowa, gdy nadbiegł zdyszany Gonin, mówiąc z przerażeniem:

— Panie Castillanie! Zajrzałem przed chwilą do stajni, którą zostawiłem otworem i spostrzegłem w niej konia pana de Bergerac, pokrytego pianą i krwią. Powrócił on najwidoczniej sam, gdyż dobijałem się do mieszkania pańskiego mistrza i nikt nic nie odpowiedział.

— A! — wykrzyknął z największą boleścią młodzieniec — pan de Cyrano zabity!

XIV.

Podczas, gdy Castillan, Marota i właściciel zajazdu czynili najrozmaitsze domysły o tem, co się mogło stać z Sawiniuszem i gdzie szukać należy przynajmniej jego trupa, hrabia Roland, zupełnie w pałacu swym bezpieczny, nasycał się owocami swej zbrodni, nie doświadczając najmniejszych nawet wyrzutów sumienia.

Odczytał on dwukrotnie, raz po razu, spo-

wiedź swego ojca i przekonał się, że była ona w istocie tak straszna i tak dla niego fatalna, jak mówił Cyrano.

Następnie cisnął do kominka wszystkie, groźne dlań papiery, podpalił je, i nie odszedł wcześniej, aż przekonał się, że ogień strawił wszystko do szczętu.

— Teraz — wyrzekł z uczuciem wielkiej ulgi — niczego już obawiać się nie potrzebuję. Nikt już nie przyjdzie wydzierać mi majątku, nikt nie sięgnie po rękę Gilberty.

W kilka godzin później, Roland de Lembrat wchodził do pałacu Faventines tak spokojny, jakby nic zgoła nie zaszło minionej nocy.

— Dobrze pan spałeś? — spytał go margrabia.

— Wybornie.

— Rozmowa z Cyranem zakończyła się w sposób pomyślny dla ciebie?

— Jak najpomyślniejszy.

— Obawiałem się jakich niepotrzebnych nieporozumień. Nasz przyjaciel Sawiniusz był wczoraj jakiś dziwny.

— To nic. Porozumieliśmy się w kilku słowach Cyranowi zdawało się, że znalazł w Perigord, gdzie bawił przed kilku dniami, kilka dowodów, mających jakoby osłabić winę jego protegowanego. Jedna chwila wystarczyła mi, aby go przekonać, że się najzupełniej myli.

— Czy nas dziś odwiedzi?

— Nie wiem.

— Będziesz pan się z nim widział?

— Prawdopodobnie. Teraz, gdy już ani jedna chmurka nie przyćmiewa naszego stosunku, nie widzę, dlaczego mielibyśmy się wzajem unikać.

— To prawda. Cyrano ma nietęgą głowę, ale złote serce. Nie można mieć do niego zbyt długo urazy. Chciałbym, żeby był na uroczystości weselnej.

— Jestem pewny, że będzie.

Margrabia pociągnął gościa do ogrodu, gdzie znajdowała się już Gilberta, w towarzystwie matki i Pakety.

Prawie w tymże samym czasie przeprowadzano Manuela pod silną strażą, przed trybunał oskarżający, albo, mówiąc wyraźnej: do izby tortur.

Było to miejsce straszne i pełne grozy. Pod niskiem sklepienem było ciemno i duszno; naścianach wisiały narzędzia męki.

Inne do tegoż celu służące przyrządy, leżały na ziemi, pokryte w wielu miejscach bruntanemi plamami krwi.

Sam widok tej ohydnej izby mroził krew w żyłach każdemu, kogo wprowadzano dla wymożenia zeń zeznań. W głębi widać było podwyższenie, na niem stół otoczony krzesłami. Nad stołem wisiał wielki krucyfiks.

Tuż pod krucyiksem znajdowało się miejsce sędziego. Nieco niżej siedział pisarz, gotowy do notowania wymuszonych na przestępcach zeznań.

Przed tym trybunałem stał kat z pomocnikami, których owego dnia było trzech.

Gdy Manuel wszedł, nie mógł opanować wrzuszenia, i zadrżał od stóp do głowy.

Następnie zwrócił wzrok na sędziego, który miał go badać. Twarz jego była mu zupełnie obca.

Straż przeprowadziła go na owe wzniesienie, gdzie kazano mu usiąść na wązkiej ławeczce.

Wówczas głosem powolnym, poważnym sędzia jął zadawać przepisane prawem pytania, na które młodzieniec odpowiadał śmiało i donośnie.

Lecz gdy sędzia przeszedł do dowodów faktycznych, Manuel nie mógł już utrzymać się w tonie spokojnej uległości.

— Panie sędzio — przemówił z podniesioną głową — oświadczyłem już staroście, że jestem niewinny. Powiedziałem też, że hrabia Roland de Lembrat zostanie przekonany niezbitemi dowodami o oszczerstwie. Dziś jestem gotów dowody te przedstawić.

— Nie przyprowadzono cię tu po to, abyś oskarżał, lecz — abyś się bronił.

— W oskarżeniu tem mieści się właśnie cała moja obrona. Hrabia de Lembrat chciał otruć mnie w więzieniu.

— Ten człowiek oszalał! — szepnął sędzia do pisarza.

— Uczyniwszy tak — ciągnął Manuel — czyż nie dowiódł wyraźnie, że się mnie i pretensyi moich obawia? Człowiek pewny siebie i słuszności swej sprawy, oczekuje spokojnie wyroku sędziów. Jemu ręka kata nie wydaje się zbyt powolną i nie uprzedza jej chwytając sam za narzędzie mordercze.

— Mówisz, że pan de Lembrat chciał cię otruć? Jakkolwiek jest to niesłychana niedorzeczność, pragnę na chwilę traktować ją poważnie. Czemże jesteś w możności udowodnić to oskarżenie?

— Hrabia przysłał mi do więzienia dwie butelki wina. Człowiek, który mi je przyniósł, oświadczył, że osoba przysyłająca pragnie pozostać nieznaną i że jedyną pobudką, jej działania jest

litość nad biednym więźniem. To fałszywe współczucie zwiodło mnie na chwilę. Gdybym nie został w porę ostrzeżony, nie miałbyś pan dziś kłopotu z przesłuchiwaniem mnie, nie żyłbym już bowiem.

— Ostrzeżono cię? — zapytał sędzia niedowierzająco. — I któż taki mógł był to uczynić, skoro byłeś jak najpilniej strzeżony?

— Nie będę opowiadał, w jaki sposób doszła do mnie wiadomość; nie wymienię też osoby, która w tem pośredniczyła. Wskazuję fakt, powinno to wystarczyć, zwłaszcza, że go mogę poprzeć dowodem.

— Niech i tak będzie. Objaśnij mnie więc, co się stało z owemi dwiema butelkami, które, jak utrzymujesz były zatrute?

— Jedną rozbiłem o podłogę mej celi.

— A druga?

— Druga schowana pod kamieniem, do którego byłem przykuty. Proszę posłać kogo do mojej celi, aby przyniósł tę butelkę. Będzie ona, jak sądzę, wystarczającym dowodem.

— Ostrzegam cię — rzekł sędzia groźnie — że jeżeli mówisz to wszystko dla zyskania na czasie i odwleczenia wymiaru sprawiedliwości, figle twoje nie będą miały innego skutku, jak tylko zdwojoną surowość trybunału.

— Proszę raz jeszcze o posłanie kogo do celi.

Sędzia dał znak jednemu ze strażników, który natychmiast wyszedł.

Badanie zostało zawieszone aż do jego powrotu.

Zjawił się po kilku minutach, niosąc ostrożnie kurzem pokrytą butelkę.

— Och! och! — zadziwił się sędzia — więc tam naprawdę coś było?

I wziąwszy butelkę, postawił ją przed sobą, przyglądając się jej z miną niedowierzającą.

— Panie sędzio — pośpieszył z żądaniem Manuel — proszę wlać do kieliszka kilka kropel płynu, zawartego w butelce. Trucizna, którą zaprawiono wino, jest tak gwałtowna, że nawet ta maleńka ilość zdoła z szybkością pioruna pozbawić życia najmocniejszego człowieka.

Żądanie oskarżonego zostało spełnione.

— Teraz — ciągnął on — proszę doświadczyć mocy tej trucizny.

Sędzia i pisarz spojrzeli na siebie z zakłopotaniem, które, mimo pełnego grozy nastroju sceny, wywołało słaby uśmiech na usta Manuela.

— Stroisz sobie z nas niepotrzebne żarty — wyrzekł wreszcie sędzia. — Jeżeli kilka kropel tego płynu powoduje śmierć natychmiastową, jakże chcesz, abyśmy jego moc wypróbowali? Nie przypuszczasz chyba, że poddam próbie jednego z ludzi, którzy cię otaczają?

— Uchowaj mnie Boże od podobnych myśli. Nie na ludziach czynić trzeba tę próbę, lecz na zwierzętach.

— Dozorca chowa koty — zauważył nieśmiało pisarz.

— Kot w przybytku sprawiedliwości! — oburzył się sędzia. — Wreszcie.. — dodał po chwilowym namyśle — zgadzam się na kota.

Ten sam usłużny strażnik, który chodził po butelkę, podjął się sprowadzić potrzebne zwierzę.

Kot przeznaczony do tego doświadczenia in

anima vili był pięknem stworzeniem, o białej, jedwabnej sierści. Gdy go przyniesiony, zwinięty był w kółko i mrużył ślepie z wyrazem błogości. Nie przeczuwał widocznie żadnego niebezpieczeństwa.

— Próbujmy! — rzekł sędzia.

— Wystarczy umaczać w winie chorągiewkę pióra — objaśnił Manuel.

Powiedziawszy to, podniósł się z ławki.

Sędzia podał mu pióro, zanurzone na chwilę w kieliszku. Manuel podsunął je kotowi.

Kot wyciągnął różowy języczek i skwapliwie oblizał chorągiewkę.

Wino było hiszpańskie, słodkie i aromatyczne. Zasmakowało matusowi, gdyż trzykrotnie do poczęstunku powracał.

Manuel położył na stole pióro, zupełnie już suche. Nie pozostało na niem ani kropelki wina.

— To dziwne! — szepnął, widząc, że kot przybrał napowrót swą pozę drzemiącą i że nie okazuje najmniejszego zaniepokojenia.

Sędzia i pisarz znów zamienili spojrzenia.

— Nic! — rzekł pierwszy.

— Zupełnie nic! — powtórzył drugi.

Manuel wziął kieliszek, napełnił go winem, umaczał raz jeszcze pióro i przeciągnął je szybko po wargach.

Spodziewał się doświadczyć takiego sparzenia, które za pierwszym razem ostrzegło go o obecności trucizny.

Płyn wydał mu się słodkim, jak miód.

Manuel pobladł.

Następnie, ulegając rozpaczliwemu zachceniu, podniósł kieliszek do ust i jednym łykiem wychylił.

— Wstrzymajcie go! Chce się otruć! — porwał się z krzykiem sędzia.

Ale Manuel stał w miejscu nie zmieniając wyrazu twarzy.

Wreszcie z gorzkim uśmiechem, postawił kieliszek na stole i rzekł:

— Nie obawiaj się, panie sędzio. Niebo jest przeciw mnie. W tym kieliszku było wino czyste.

— Okłamałeś nas zatem! — wykrzyknął surowo sędzia. — Zrobiłeś sobie igraszkę z trybunału sprawiedliwości?

— Niebo jest przeciw mnie — powtarzał Manuel ze smutną rezygnacyą. Dowód, który zdawało mi się, że już trzymam, wysunął mi się z ręki. Jedna tylko z dwu butelek była zatruta i tą właśnie stłukłem w przystępie gniewu.

— Nie myśl, że ci się damy wystrychnąć na dudków. Niedorzeczna komedya, którą odegrywasz, ten tylko będzie miała skutek, że los twój pogorszy.

Sędzia był widocznie mocno rozdrażniony.

Dał znak pisarzowi, który ujął za pióro; następnie do Manuela zwracając się, wyrzekł:

— Zarzucane ci przestępstwo jest aż nazbyt widoczne. Chciałeś zaprzeczyć oczywistym faktom i zwrócić oskarżenie przeciw oskarżającemu. Wszystko to, jak widzisz, nie doprowadziło cię do niczego. Przyznaj się do winy; wzywam cię po raz ostatni.

— Nigdy! — rzekł Manuel tonem najzupełniej stanowczym.

Sędzia dał rozkaz.

Kat i jego pomocnicy przystąpili do młodzieńca. Posłuszny instynktowi zachowawczemu chciał stawić opór.

Po krótkiej walce, krzepkie ręce oprawców obezwładniły młodzieńca.

Rozciągniono go na ziemi; pomocnicy kata skrępowali mu ręce i nogi silnemi sznurami.

Te sznury przyczepione zostały następnie do innych przymocowanych do ścian izby. Uczuł się uniesionym w powietrze, a jednocześnie naprężane silnie sznury zaczęły wyciągać mu ze stawów ręce i nogi.

Pod ciała, wyciągnięte w ten sposób w horyzontalnej prawie pozycyi, podsunięto drewniane rusztowanie, które unosząc tors, zwiększało jeszcze siłę ucisku. Było to przygotowanie do tortury, zwanej próbą wodną.

— Pierwsza doza! — rozkazał sędzia.

Kat wsunął pomiędzy ściśnięte zęby Manuela żelazną kopystkę, otworzył je przemocą i wcisnął mu w usta koniec dużego leja, który sięgał aż do przełyku.

Gwałtowne, lecz krótkie miotanie się męczonego, było jedynym objawem stawianego przezeń oporu.

Jeden z pomocników kata jął przelewać zwolna do leja wodę z pewnego dzbanka.

Manuel nie dał żadnego znaku.

Po dwa i po trzy razy ponawiano męczarnię, on jednak na chwilę nawet odwagi nie stracił.

Z zamkniętymi oczyma zdawał się oczekiwać śmierci.

Były dwie próby wody: zwyczajna i nadzwyczajna. Aby wytrzymać drugą z nich, trzeba było posiadać moc nadludzką.

Woda, wlewana do żołądka w ilości nadmiernej, sprowadzała objawy podobne do duszenia się.

Pod wpływem zazierającej do oczu śmierci, przyznanie się wybiegało z ust męczonego — czy winny był, czy niewinny.

Manuel obdarzony charakterem żelaznym i wolą niezłomną, wytrwał zwycięsko pierwsze bóle tej męczarni.

Pulsa w skroniach biły mu gwałtownie; krew, napędzana całą siłą do mózgu, czerwieniła mu twarz; ostry ból przeszywał mu piersi; mimo wszystko młodzieniec nie przestawał milczeć, z zamkniętymi wciąż oczami. A ile razy sędzia zawołał: "Przyznaj się!", on głosem silnym jeszcze odpowiadał:

— Nigdy!

Przystąpiono do próby nadzwyczajnej.

Manuel otworzył oczy.

W spojrzeniu młodzieńca bystrem i groźnem, sędzia dopatrzył się skruchy i prośby i raz jeszcze powtórzył swe stałe zapytanie.

— Nigdy!— była odpowiedź, ostatnia już niestety, gdyż męczony zaczął głos tracić.

— Druga doza nadzwyczajna! — rozkazał sędzia.

Oprawcy rozkaz spełnili.

Był to już koniec.

Manuel zamknął oczy na nowo; twarz mu się wydłużyła.

— Zemdlał — rzekł jeden z oprawców.

— Odwiązać go — polecił sędzia. — Nigdy jeszcze nie widziałem w przestępcy tak zaciętego oporu.

— No, jeśli ten przyjdzie jeszcze do siebie — mruknął jednocześnie oprawca — to będzie dowód, że siedzi w nim djablo rogata dusza!

Manuela, wciąż nieprzytomnego, odniesiono nie do więzienia, lecz do komnaty, sąsiadującej z izbą tortur, gdzie zajął się nim lekarz więzienny.

—·—

XV.

Zilla we własnym pokoju uwięziona, zaniechała, jak przypominamy sobie dalszych prób wydobycia się na wolność.

Nazajutrz dopiero stara odźwierna, usłyszawszy nowe wołania cyganki, pośpieszyła na górę, aby ją wypuścić z zamknięcia.

Zilla zbiegła natychmiast na dół, aby udać się do mieszkania Cyrana.

Człowiek jakiś zatrzymał ją przed samym domem. Był to jeden z tych, co należeli do nocnej wyprawy.

— Dokąd biegniesz Zillo? — zapytał.

— Co ci do tego! — odparła niechętnie.

I chciała go wyminąć.

— Bo to, widzisz — ciągnął zbój — jeśli idziesz szukać brata, mogę ci oszczędzić niepotrzebnego trudu.

— Co to ma znaczyć?

— Już po Ben Joelu! — odrzekł krótko tamten, nie przywykły do długich omawiań.

— Nie żyje!

— Stanęła w miejscu bardziej zdziwiona i przelękła, niż zasmucona.

Ostatnie wypadki zerwały ostatecznie słabą nić przywiązania, która łączyła ją z Ben Joelem.

— Jak to się stało? — zapytała po chwili.

— Brat zginął porządnie w zażartej walce — pocieszył ją zbój.

— Chcesz pewnie powiedzieć w podłej zasadzce, którą urządził na człowieka niewinnego i której sam padł ofiarą!

— I któż go zabił?

— Tamten.

— Ale kto?

— No, tamten, na którego czekano. Zapomniałem, jak się nazywa.

— A z nim co się stało?

— Także zabity. Cofnąłem się trochę w tył i z za węgła przypatrywałem się tej zabijatyce. Ten, co zabił Ben Joela, dostał w łeb kamieniem od człowieka, po którego chodziliśmy na ulicę św. Pawła i któremu brat twój okazywał wielkie posłuszeństwo.

— Hrabia! — szepnęła Zilla.

— Postawił więc na swojem. Zamordował nieprzyjaciela, a los uprzątnął mu z drogi wspólnika.

Pochyliła głowę w milczeniu, i zdawała się zapominać o otaczającym ją świecie. Towarzysze zbójcy otoczyli ją, przyglądając się ciekawie i czekając, jak to się skończy.

— Manuel! — wybiegło wreszcie z ust cyganki. — O Manuelu myśleć teraz trzeba.

Odtrąciła ruchem wyniosłym zastępującego jej drogę włóczęgę i wybiegła na ulicę.

Z początku niepewna, dokąd się zwrócić, postanowiła wreszcie raz jeszcze spróbować szczęścia i zapukać do drzwi starosty.

Prześwietny Jan de Lamothe, zajęty właśnie odczytywaniem ostatniego protokułu sprawy kazał ją wpuścić bezzwłocznie.

— Panie starosto! — zaczęła — odwołuję się do pańskiej sprawiedliwości.

— Czego jeszcze żądasz?

— Żądam, aby mnie wysłuchano. Przybyłam, aby udowodnić niewinność Manuela.

— Już mi raz o tem wspomniałaś. Jakkolwiek nie mogę mieć do ciebie wielkiego zaufania, pozwalam ci mówić, sprawa bowiem, zamiast rozjaśniać się, staje się coraz ciemniejszą. Mów zatem!

— Panie starosto — podjęła cyganka. — Manuel jest bratem hrabiego Rolanda.

De Lamothe rzucił na nią spojrzenie zdziwione i prawie gniewne.

Ona jednak, mało dbając o to, jakie wrażenie uczyniły jej słowa, ciągnęła dalej swe zeznanie.

Odsłoniła intrygi hrabiego i ujawniła przed starostą wszystkie środki, jakich chwycono się, aby sprawę zaciemnić i zaprzepaścić.

Starosta jednak zachowywał się względem tych zeznań bardzo niedowierzająco. Spodziewał się innych, bardziej przekonywujących.

Potrząsnął głową i rzekł:

— Kłamstwo!

Zilla sięgnęła po swą broń ostatnią.

— A czy uwierzysz mi, panie starosto, gdy ci powiem, że dzisiejszej nocy hrabia de Lembrat kazał zamordowć pana de Cyrano; co więcej, że go sam, własną ręką zamordował?

Jan de Lamothe porwał się, krzycząc:

— Nieszczęsna! Jak śmiałaś to powiedzieć! Jednocześnie zadzwonił.

Zjawił się woźny.

— Idź natychmiast do pana de Cyrano i poproś go, aby bez straty czasu przybył do mnie.

Woźny wyszedł, starosta zaś, jakby zapomniawszy o Zilli, jął napowrót wertować papiery.

Upłynęło w ten sposób pół godziny. Zjawił się wreszcie z powrotem posłaniec i oświadczył:

— Pan de Cyrano wyjechał tej nocy i dotąd do domu nie powrócił.

Zilla znów głos zabrała, oznajmując o śmierci Ben Joela.

— Smierć Ben Joela — zauważył — nie uniewadnia bynajmniej winy hrabiego. Zobaczę się z panem de Lembrat.

— Panie starosto! — odważyła się prosić Zilla — czy pozwolisz mi odwiedzić Manuela? Bardziej, niż kiedykolwiek potrzebuje on pomocy i pociechy.

—Dziś mogę ci udzielić tę łaskę. Weź to.

I Jan de Lamothe podał cygance kartę, otwierającą wstęp do Chatelet.

Właśnie w chwili, gdy Manuela z trudem przywrócono do przytomności, zjawiła się tuż przy nim Zilla.

Na widok jej, ani jeden wyrzut z ust mu nie wybiegł. Przepędziła całą godzinę przy łóżku, na którem go złożono, ukorzyła się, wylewała łzy, żebrała przebaczenia — mówiła wreszcie wiele o Gilbercie i o tem, że z uczucia swego czyni ofiarę.

Pożegnała ukochanego słowami:

— Nie trać nadziei! Żyj! Ocalę cię!

W tym czasie czcigodny Jan de Lamothe opuścił swój gabinet, udał się na ulicę św. Pawła i kazał oznajmić się hrabiemu de Lembrat, który tylko co powrócił z pałacu Faventines.

Bez żadnych wstępów powtórzył słowa Zilli.

Bez żadnych wstępów oświadczył też Rolandowi:

— Oskarżenie zwrócone jest przeciw panu.

Hrabia uśmiechnął się wzgardliwie.

Po tych ludziach wszystkiego spodziewać się można. Muszę cię jednak objaśnić, kochany starosto, że między tym Ben Joelem i Cyranem istniała zadawniona uraza. Cygan zapragnął teraz pewnie wyrównać rachunki, a godnej jego siostrzyczce bardzo jest na rękę rzucić odpowiedzialność za to na mnie. Zresztą, czy ta wiadomość potwierdza się? Czy Cyrano został naprawdę zamordowany?

— Od chwili, gdy wyjechał, nie widziano go w zajeździe.

— To niczego nie dowodzi. Znamy wszyscy jego usposobienie awanturnicze; mógł był łatwo wybrać się w dalszą drogę, nie uprzedziwszy nikogo. Pomyślał chwilkę i dodał tonem uspakającym:

— Bądź pewnym, panie starosto, że za jakie dwa, trzy dni ujrzymy naszego Bergeraca w doskonałem zdrowiu i w wyśmienitym, jak zawsze, humorze. Zresztą, gdyby nie żył, jak to utrzymują, odnalezionoby jego ciało.

— Tak, to prawda! — przytaknął starosta, pokonany bardziej jeszcze spokojnym tonem mowy hrabiego i jego miną, kłamiącą najdoskonalej wiarę w to, co mówi, niż dość kruchemi argumentami.

— A co się dzieje z Manuelem? — zapytał hrabia, wracając do tego, co go najbardziej obchodziło.

— Brany był dziś na konfesaty.

— I przyznał się?

— Nie! Raz jeszcze wszystkiemu zaprzeczył.

— Silny charakter! — zauważył Roland spokojnie, bo już w tej chwili nie lękał się o dalszy przebieg sprawy.

Pomimo wielkiej pewności siebie, którą objawiał hrabia i jego śmiałych odpowiedzi, starosta, rozstając się z nim, był dziwnie zamyślony.

Umysł jego, oblegany przeróżnemi wątpliwościami, miotał się to w tę, to w ową stronę, jak mucha w sieci pajęczej.

Co się tyczy Zilli, choć smutna i doznanemi wrażeniami znękana, nie upadała jednak na duchu.

Wyszedłszy z gmachu więziennego, otarła ona wilgotne od łez oczy i poszła prosto do mieszkania Cyrana.

Pragnęła za wszelką cenę odzyskać księgę, która w tej chwili była jej niezbędną.

U wejścia do zajazdu spotkała Marotę.

Było to dla niej wielką niespodzianką.

Współtowarzyszki włóczęgi i przygód romantycznych nie widziały się już od dawna; zaledwie też poznać się mogły.

Po szybkiej wymianie słów, wyjaśniających, skąd się wzięła w tem miejscu i jedna i druga, Zilla wyjawiła przyjaciółce wszystko, co przepełniało jej serce, i wskazała główny powód swego przybycia.

Marota patrzyła na nią przez chwilę wzrokiem szczególnym, następnie, nic nie mówiąc, ujęła ją za rękę i poprowadziła do wnętrza domu.

XVI.

Upłynęło wiele dni... i hrabia Roland de Lembrat odzyskał całkowicie, jeżeli nie spokojność, to przynajmniej zupełną pewność siebie.

O Cyranie żadnych wieści nie miano.

Roland, aby rolę swą odegrać do końca, posyłał kilkakrotnie do właściciela zajazdu z zapytaniem o poetę, ale sławetny Gonin odpowiadał za każdym razem, że mu nic o panu de Bergerac nie wiadomo.

Gdyby wysłaniec hrabiego był człowiekiem bystrzejszym, zauważyłby może niezwykły ton owych odpowiedzi. Ale nie należał on do tych, co się liczą z takiemi drobnostkami i zdając sprawę swemu panu, powtarzał słowa oberżysty bez żadnych uwag dodatkowych.

Hrabia był zatem najpewniejszy, że trup jego wroga spoczywa spokojnie na dnie Sekwany.

Zwycięstwo było zupełne.

Okoliczności wybornie usłużyły zbrodniarzowi. Pozostał sam jeden uwolniony równocześnie od nieprzyjaciół i od wspólników przestępstwa.

Po śmierci Rinalda i Ben Joela, nikt już nie mógł świadczyć przeciw niemu.

Pozostawała wprawdzie Zilla, jakąż jednak wartość mogło mieć jej ustne zeznanie, wobec

faktu, że księga Ben Joela w popiół się obróciła! Nic już więc teraz nie zaprzątało myśli hrabiego, prócz przygotowań do małżeństwa, które postanowił jak najbardziej przyśpieszyć, mało sobie czyniąc z przewidywanego oporu Gilberty.

Codziennie bywał teraz w pałacu na wyspie św. Ludwika i długie narady odbywał z margrabią.

Ten ostatni, po każdej bytności przyszłego zięcia, przywoływał córkę i wymownie bronił sprawy Rolanda; im bardziej jednak zbliżał się termin ślubu, z tem większą stanowczością powtarzała Gilberta wolę swoją, którą od początku ojcu otwarcie oznajmiła.

Margrabia, bardzo wiele nadziei i wyrachowań opierający na tym związku, postanowił nie przykładać wielkiej wagi do słów upartej dziewczyny i nie przestawał ośmielać i zachęcać hrabiego.

W końcu jednak zaniepokoił się.

Gilberta potrafiła przeciągnąć na swoją stronę matkę, a pani de Faventines zbudziła w umyśle męża pewne wątpliwości i niepokoje, z któremi — jak to zaraz zobaczymy — walczyć on musiał.

Pewnego dnia Roland, według zwyczaju, przybył do pałacu.

Tym razem zaopatrzył się on w broń niezawodną, która miała ostatecznie doprowadzić do celu. Bronią tą był projekt kontraktu, ułożony w ten sposób, że uspakajał najambitniejsze pragnienia margrabiego.

Na prośbę hrabiego, pan de Faventines kontrakt ów przeczytał.

—Ależ doprawdy, hrabio — rzekł rozpromie-

niony — poczynasz sobie po królewsku. Twoja wspaniałomyślność wzrusza mnie głęboko.

— A więc — natarł, nie zwlekając, Roland — jeżeli uważasz, panie margrabio, że wszystko w porządku, wypada nam już tylko nadać temu aktowi ważność prawną. Za trzy dni gotów byłbym poślubić pannę Gilbertę.

— Za trzy dni — powtórzył tamten, zamyślając się. — Czy nie byłoby to zbyt gwałtownie? Często przez pośpiech zbyteczny psują się najlepsze sprawy. Nie sądzę, aby córka moja już dostatecznie przygotowaną była do tego małżeństwa.

— To i cóż? — odparł hrabia tonem swobodnym i lekkim. — Wszystkie dziewczęta niechętnie pozbywają się wolności. Lubią one, aby były proszone, pożądane — zdobywane. Pewien łagodny upór dodaje im uroku. Znając siebie, nie są bynajmniej nierade tym, którzy w danej chwili podejmują się wyręczyć je w wypowiedzeniu stanowczego: "ja"...

— Być może... jednak zachowanie się Gilberty daje mi dużo do myślenia. Bywa często zamyślona, to znów nienaturalnie egzaltowana. Matka, która zawsze zna lepiej, niż ojciec, serce córki, mówiła mi, że obawia się niekiedy złych następstw zbyt prędkiego postanowienia. Roland uśmiechnął się kwaśno.

— Niezbyt to pochlebia mojej miłości własnej — rzekł. — Jednakże nie obawiaj się, panie margrabio. Zaufaj i oddaj mi pannę Gilbertę. Otoczę ją taką troskliwością, takim szacunkiem i taką miłością,że porzuci niebawem swe posępne marzenia o śmierci, jeśli wogóle miewa je kiedykolwiek.

— Gilberta jest energiczna i stała w postanowieniach.

— Ach! drogi margrabio! jesteś ojcem, a nabawiają cię strachu zwykłe dziewczęce kaprysy! Młoda panna, która grozi otoczeniu swojemu, że zabije się, jeśli zmuszać ją będą do małżeństwa z rozsądku — nikomu naprawdę nie jest groźna. Ani jej samej, ani jej pogróżek nie wypada brać poważnie. Proszę zatem o opowiedź stanowczą. Resztę biorę na siebie.

Margrabia wyciągnął rękę do Rolanda.

— A więc tak — wyrzekł uroczyście — zasłużyłeś sobie hrabio, na moje zaufanie. Zgadzam się. Niech będzie, jak żądasz.

Prawie natychmiast zawiadomiono o tem Gilbertę.

Przyjęła wiadomość w głębokiem milczeniu i z martwą obojętnością.

Była całkowicie już wyczerpana walką, tak długo przeciągającą się i nie chciała zadawać sobie trudu ujawniania najsłabszego nawet oporu!

Odeszła do swej panieńskiej komnatki, pozostawiając Pakecie zajęcie się przygotowaniami ślubnemi.

Umysł Gilberty znajdował się w stanie nadzwyczajnego podniecenia, które sprawiało, że nie żyła wprawdzie życiem ludzi, że powszednie radości i troski prawie zupełnie istnieć dla niej przestały.

Nie uczuwała też najmniejszej trwogi przed tem, co niegdyś dreszczem śmiertelnego przerażenia zlodowaciłoby jej serce.

Myśli jej i marzenia przebywały w jakiejś sferze nadziemskiej, wyższej po nad sprawy doczesne — o której jednak nie umiałaby powiedzieć, czy jest niebem, czy piekłem.

Pełne otuchy słowa Cyrana uleciały już jej z pamięci. Co większa, nawet osobą poety i jego niewytłomaczonem zniknięciem zajmować się przestała.

Cała dusza Gilberty wypełniona była Manuelem. Jego tylko jednego dostrzegała we mgle swych marzeń. Dla niego też tylko, z poddaniem się, niemal z radością czyniła przygotowanie do ofiary z życia.

W takich okolicznościach nadszedł dzień ślubu jej z Rolandem.

XVII.

Wczesnym rankiem Roland wyszedł z pałacu, odziany w ślubne suknie i udał się do Luwru, gdzie bawił codziennie, wraz z innymi magnatami, przy ubieraniu młodego monarchy.

Miał on wśród dworzan wielu przyjaciół, których na ślub swój zaprosił.

Gdy już dopełnił zwykłego ceremoniału, wszyscy postanowili odprowadzić go do pałacu przyszłego teścia.

Wesoły, strojny i gwarny orszak wysypał się z jednej z bram Luwru, mając na czele promieniejącego szczęściem nowożeńca.

Mieszczanie i mieszczanki stawali po drodze, olśnieni blaskiem tych jedwabiów, aksamitów i piór strusich, które w pełnem oświetleniu słonecznem grały najżywszemi barwami.

Z podziwem łączyła się zazdrość, a ta ostatnia nierzadko w nienawiść przechodziła.

Młodzieńcy nie szczędzili przechodniom żarcików, drwin, a niekiedy i obelg.

Zachowywali się tak, jakby cały świat do nich należał i — kłaniać się im musiał.

Oblubieniec rej wodził w tem gronie hulaszczem, bo mu tak w roli, a może i z upodobania chwilowego wypadało.

Nagle uwagę jego zwróciła na siebie pewna szczególna lektyka, którą niesiono do pałacu królewskiego.

Za tą lektyką postępowali: Zilla, Castillan i Marota. Postępowała też jeszcze jedna osoba, wysokiego wzrostu, barczysta, w czarnej sutannie, której Roland nie znał.

Osobą tą był ksiądz Szablisty.

Na widok lektyki i otaczających ją ludzi, zimny dreszcz przebiegł Rolanda.

Ale uspokoił się on natychmiast.

— Zabity! utopiony! — powtarzał sobie kilkakrotnie.

I z silnem postanowieniem zapomnienia o tem niepokojącem zjawisku, wstąpił razem z towarzyszami we wrota pałacu Faventines.

Wszystko tam już było gotowe na ich przyjęcie.

Wielki salon tonął w gęstwinie rzadkich, kwitnących roślin i ozdobiony był nowemi, wspaniałemi gobelinami.

Margrabia witał w progu napływających wciąż gości, których obszerne salony ledwie pomieścić mogły.

Długo on czekał na ten dzień i wiele trudności zwalczyć musiał, zanim go przygotował, więc też w spojrzeniu i w całej twarzy jego widniała radość wielka, połączona jakby z obawą,

aby ta rozkoszna rzeczywistość nie zmieniła się nagle w sen i nie uleciała...

Po przybyciu Rolanda, prawie wszyscy przy nim się skupili.

Nagle donośny głos służby oznajmił prześwietnego Jana de Lamothe, starostę paryskiego.

— Cóż tak późno, szanowny nasz przyjacielu? — przywitał go margrabia z wymówką.

— Obowiązek przedewszystkiem, margrabio! Kilka ważnych spraw zatrzymało mnie dzisiejszego ranka w urzędzie.

— Jakież uciążliwe obowiązki! Ani jednego dnia wytchnienia!

Starosta, uroczystszy i wynioślejszy, niż kiedykolwiek, ciągnął:

— Jedna zwłaszcza sprawa w najwyższym stopniu zajmuje mnie i zaciekawia w tej chwili.

— O cóż w niej chodzi?

— O zniknięcie pańskiego przyjaciela, Cyrana.

Margrabia zasępił się.

— To prawda — odrzekł — co się stać mogło z biednym poetą? Prosiłem go na ślub swej córki, tymczasem odpowiedziano mi, że nikt nie wie, ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje. Czyżby spotkało Cyrana jakie nieszczęście?

— W tym względzie nic jeszcze nie wiem pewnego i to właśnie jest przedmiotem mego niepokoju i moich poszukiwań. Czy zaawanturował się gdzie daleko? czy też padł ofiarą przypadku lub — co nie daj Boże — zbrodni? Gęsty mrok tajemnicy wszystko to pokrywa. W każdym razie jest to, czy też: był to, wielki szaleniec, i jeśli zajmuję się nim, stosownie do wskazówek, które otrzymałem i które znane są hrabiemu, to dlate-

go jedynie, że czynił on w świecie wiele hałasu i że jest rzeczą ciekawą zbadać, dlaczego już teraz nie czyni. Jeśli zaś mam być szczery, to wyznam, że skłonny jestem do uwierzenia, iż Cyrano — jak głoszą wieści — został naprawdę zamordowany.

— Biedny Sawiniusz!— westchnął margrabia szczerze wzruszony.

— Szkoda go — zauważył zimno Roland.

— Dajmy pokój temu smutnemu przedmiotowi! — zakończył starosta. — Kiedyż ślub? — spytał, zwracając się do pana młodego.

— W samo południe!

— W takim razie wkrótce już będziemy mieli szczęście powitać pannę młodą.

— Gilberta jest w tej chwili przy matce. Za chwilę ujrzycie ją panowie.

Przez otwarte okna napływał głos dzwonów katedralnych, przyzywających na nabożeństwo.

Na ten znak goście skupili się dokoła margrabiego, a po małej chwili szmer rozległ się wśród całej drużyny.

W otwartych drzwiach zjawiła się Gilberta w białym stroju oblubienicy.

Matka i Paketa postępowały za nią.

———

XVIII.

Bielsza była od welonu, pokrywającego jej czoło.

Jednak uśmiechała się tym zimnym, obrzędowym uśmiechem, do okoliczności zastosowanym, który był ostatniem ustępstwem, uczynionem dla ojca.

Przy stroju oblubienicy, olśniewająco i niepokalanie białym, dziwnie odbijał, niezauważony jednak przez nikogo, naszyjnik bursztynowy....

Ku temu strasznemu darowi Zilli ręka Gilberty sięgała co chwila ruchem nerwowym, ściskając perłę zatrutą, od której się wkrótce spodziewała spokoju i śmierci.

Zamiarem jej było odłożyć do ostatniej chwili wykonanie rozpaczliwego kroku; głos sumienia nakazywał jej zachowywać życie najdłużej, jak można, aby dać czas przypadkowi, a raczej Opatrzności przybyć jej z pomocą, jeśli tam, gdzie ważą się losy ludzi, uznane to zostanie za potrzebne.

Margrabia zbliżył się do córki z otwartemi ramionami.

— Moja córko! dziecię moje najdroższe! — wyrzekł z czułością.

I w tym ojcu, który dokonywał lichego targu, oddając rękę jedynaczki hrabiemu, zbudziło się na chwilę szczere uczucie i prawdziwa łza w jego oku zabłysła, wywołana żalem, a może i skruchą.

Gilberta zwróciła na ojca niewymownie smutne spojrzenie.

— Biedny ojciec! — pomyślała. — Niech mu Bóg przebaczy, bo zaprawdę, nie wie, co czyni!

Dzwony u Panny Maryi zamilkły.

— Zaczynają wychodzić — rzekła cichym głosem Paketa.

— Tak — szepnęła, drżąc, Gilberta — wszystko skończone.

Wygalowany służący zjawił się w tejże chwili w salonie i kłaniając się przed margrabią, oznajmił, że karety już zaszły.

— Panie i panowie — rzekł głośno margrabia — jedziemy.

I wyciągnął rękę do córki.

Ale Gilberta zachwiała się i na fotel upadła, szepcąc niewyraźnie:

— Ach, nie! nie mogę.

Na znak swej pani, Paketa wyszła z salonu i powróciła za chwilę, niosąc szklankę wody na srebrnej tacy.

— Uspokój się pani — rzekł Roland do narzeczonej. — Opanuj wzruszenie. Zaczekamy na pani rozkazy.

— O! nie będziesz pan czekał długo.

Wzięła szklankę do ręki, umaczała w wodzie usta i w tejże chwili wpuściła do niej oderwaną od naszyjnika perłę.

Zgodnie z zapowiedzią Zilli, perła rozpuściła

się prawie natychmiast, nie zamącając ani trochę kryształowej czystości płynu.

Usta Gilberty poruszyły się lekko. Modliła się pewnie.

Następnie, wolnym ruchem podniosła szklankę.

W chwili, gdy rzuciwszy dokoła siebie ostatnie spojrzenie żalu, czy też nadziei, do ust ją przytykała, wielkie drzwi salonu otwarły się z łoskotem na całą szerokość, i wśród wielkiej ciszy, która tam zapanowała, służący obwieścił głosem donośnym:

— Jaśnie wielmożny wicehrabia Ludwik de Lembrat! Jaśnie wielmożny Sawiniusz Cyrano de Bergerac!

XIX.

— Ach! — wyrwał się słaby okrzyk z piersi Gilberty. — Bóg uczynił cud. Jestem ocalona!

I stawiając szklankę nietkniętą na stole, pośpieszyła na spotkanie wchodzących.

W progu ukazał się Sawiniusz, który postępował, wspierając się na Manuelu i Castillanie. Tuż za tą trójką widać było Zillę, Marotę i księdza Jakóba Szablistego.

Poeta był bardzo blady, skrwawiony bandaż opasywał jego głowę i mimo trudności dwóch przyjaciół, posuwał się z wielką trudnością.

Roland zmiażdżony niespodziewanem zjawiskiem, stał jak skamieniały, nie przemawiając jednego słowa, nie robiąc jednego poruszenia.

Pierwszemu staroście wraz z przytomnością powrócił głos.

— Co to znaczy — wykrzyknął ze zdumieniem naiwnem. — Więc pan nie umarłeś, panie de Cyrano?

— Jak pan widzisz — odrzekł Bergerac. — — W każdym razie, jeśli żyję, to nie winien temu z pewnością pan hrabia de Lembrat, gdyż on to mnie właśnie zamordował.

— Panie! Takie oszczerstwo!... —wykrzyknął Roland, który wobec niebezpieczeństwa, odzyskał natychmiast swą bezczelną powagę.

Cyrano piorunującem spojrzeniem usta mu zamknął.

— Pozwól mi pan najpierw powiedzieć, co mam do powiedzenia — podjął. — Następnie będziesz mógł się bronić, jeśli potrafisz.

— Na jakiej zasadzie przybyłeś pan tu zamącać uroczystą chwilę mego życia.

— Na zasadzie prawa i sprawiedliwości. A! miałeś mnie pan za umarłego i zdawało ci się, żeś już zupełnie bezpieczny? Sądziłeś, że Sekwana trupa mego nie wyrzuci? Wysyłałeś służbę swą na wywiady, a w domu, gdzie mieszkam, mówiono ci, żem przepadł bez wieści. "Wybornie — myślałeś, w zaślepieniu wielkiem, czy też w niepojętej głupocie — nie mam już potrzeby obawiać się swego przeciwnika." Ale podczas, gdy winszowałeś sam sobie łatwego tryumfu, przyjaciele moi czuwali, a czy ich, bystrzejsze od oczów miejskich pachołków, spostrzegły mnie spoczywającego bez przytomności na mieliźnie, na którą cisnąłeś mnie w zbytnim pośpiechu. Dzięki temu dzielnemu młodzieńcowi i tej odważnej dzieweczce — przy tych słowach Cyrano uścisnął serdecznie ręce Castillana i Maroty —

wydobyty zostałem z tego błota, gdzie inaczej marniebym dni swoje zakończył. Jeśli ukrywałem się aż do tej chwili, jeżeli rozmyślnie kazałem rozgłaszać wieści o swem zniknięciu, czyniłem to w tym celu, aby cię przydybać i ugodzić w samej chwili twego tryumfu. W takiż sam sposób i ty chciałeś niegdyś zgubić Manuela.

Cyrano wyczerpany zamilknął. Chciał wszystko od razu powiedzieć, a wysiłek ten odnowił i wzmógł jego cierpienia.

— Ależ to niesłychane! — zawołał z udanem oburzeniem Roland. — Panie margrabio! jako gospodarz domu, racz położyć koniec tej scenie skandalicznej.

— Zwolna, panie hrabio — wmieszał się w tej chwili Jan de Lamothe, który z niezmierną uwagą słuchał słów Cyrana — przyjaciel musi tu ustąpić miejsca sędziemu. Rzecz powinna być dokładnie zbadana.

— Dzielnie powiedziane, panie starosto! — rzekł poeta. — Te słowa godzą mnie z panem.

I podał rękę dawnemu przeciwnikowi, a wskazując na Rolanda, dodał:

— Ten człowiek nadużył pańskiej dobrej wiary. Wtrącił on do więzienia brata, aby mu zagrabić majątek i imię. Cygana Manuela już niema, panie starosto; jest tylko wicehrabia Ludwik de Lembrat, którego panu przedstawiam. W imieniu królowej regentki, najmiłościwszej naszej pani, żądam też od pana, abyś uznał jego tytuł i stanowisko.

— A ja! — wykrzyknął Roland, którego wściekłość bezsilna czyniła prawie bezprzytomnym — żądam od pana, w imieniu służących mi praw, abyś kazał natychmiast uwięzić obu tych oszustów: jednego, który się mieni moim

bratem, drugiego, który mu w tej intrydze dopomaga!

Margrabia, nie przyjmujący dotąd udziału w tej nadzwyczajnej scenie, ośmielił się wreszcie zauważyć:

— Jednakże, hrabio, jeśli mają dowody?...

— Nie mają ich.

— Nie mam tych, które mi pan ukradłeś — odezwał się Cyrano — nie mam ani strasznego dla ciebie zeznania twego ojca, ani księgi Ben Joela, ani wreszcie świadectwa twą własną ręką napisanego. Pozostało mi wszakże zeznanie twego służącego Rinalda, spisane w obecności mego przyjaciela Jakóba Szablistego, tu obecnego i szczęśliwie przezeń zachowane, pozostaje mi wreszcie świadectwo Zilli.

Powracam z Luwru. Królowa Anna udzieliła mi posłuchania; dowody, które jej przedstawiłem, przekonały ją. Z woli monarchini, Manuel został wypuszczony na wolność, z jej woli również pan zostaniesz ukarany. Przeczytaj, panie starosto, rozkaz najjaśniejszej regentki.

— Wszystko przeciw mnie! jęknął Roland — jestem zgubiony.

Prześwietny Jan de Lamothe wziął do ręki i odczytał rozkaz, opatrzony podpisem królowej.

Przystąpił do Rolanda, który siedział zagłębiony w fotelu, gdzie przed chwilą spoczywała omdlewająca Gilberta i dotykając jego ramienia palcem, wyrzekł:

— Bardzo żałuję, panie hrabio, tego, co się dzieje, ale według brzmienia rozkazu jego królewskiej mości, zmuszony jestem pana uwięzić. Margrabio, każ pozamykać bramy swego pałacu i poślij po straż miejską.

— Mnie więzić? mnie? — bełkotał Roland.

— Tak — jako przekonanego o zbrodnię zabójstwa i fałsz — dokończył starosta. — Proszę o szpadę, panie de Lembrat.

— A! — wykrzyknął Roland zduszonym bezsilną wściekłością głosem.

I zaciśniętą pięścią uderzył się w czoło, jakby chciał przeciw sobie samemu zwrócić gniew szalony.

Krew uderzyła mu do głowy; całe ciało trząść się jęło spazmatycznie. Źrenice jego wywróciły się; zimny pot wystąpił na czoło; gardło ścisnął kurcz gwałtowny.

Dusił się.

Wówczas, machinalnie aby zapobiedz gwałtownemu napadowi, z tym instynktem zachowawczym, który nakazuje człowiekowi sięgać po każdy środek ratunku, jaki ma pod ręką, pochwycił szklankę wody, pozostawioną przez Gilbertę i jednym łykiem do dna ją wypił.

Stało się to tak szybko, że Gilberta zlodowaciała z przerażenia i nie zdążyła nawet jednem poruszeniem ostrzedz go i powstrzymać.

— A! — krzyknęła rozpaczliwie — otruł się!

— Co pani mówi? — spytał stojący przy niej Manuel.

— Tak — szepnęła cicho a prędko — ta trucizna była przygotowana... dla mnie. Nie wiedział o tem. Ach! spojrzyj pan na hrabiego.

Roland podniósł się na siedzeniu, jakby podrzucony sprężyną.

Szklanka upadła i potoczyła się na dywanie. Z rozszerzonemi strasznie źrenicami hrabia pozostał przez chwilę w postawie stojącej, potem ozwało mu się w gardle krótkie śmiertelne rzężenie i runął na posadzkę, jak gromem rażony.

Zilla podbiegła i mijając szybko Gilbertę, spytała:

— Perła?

— Tak! — odrzekła tamta w najwyższem przerażeniu.

— Bracie mój, bracie! — rzekł Manuel, który wraz z innymi cisnął się do leżącego.

— Hrabia de Lembrat nie słyszy już pana — wyrzekła poważnie Zilla.

XX.

Cyrano wpatrywał się długo w trupa, którego twarz, kurczowo wykrzywiona jeszcze zdawała się szydzić i wygrażać.

— Nie będzie plamy na tarczy herbowej hrabiów de Lembrat — szepnął nareszcie.

Gdy Gilberta przyszedłszy cokolwiek do siebie po tych wstrząsających wrażeniach, znalazła się w obecności Zilli i Manuela, doznała uczucia jakiejś nieokreślonej trwogi.

Źródło jej trwogi odgadła cyganka i ujmując za rękę córkę margrabiego, rzekła poprostu:

— Żegnam panią.

— Zillo! — rzekł Manuel! — nic więcej nie masz do powiedzenia? W ten sposób chcesz rozstać się z nami?

Rzuciła mu długie spojrzenie, w którem zdawała się skupiać cała jej dusza i jakby drogocenna wskazówka szczęścia, a zarazem i objaw żalu głębokiego, wybiegło z jej ust jedno tylko słowo:

— Kochajcie się.

Księdzu Jakóbowi Szablistemu przypadło w udziale pobłogosławić związek mażeński Gilberty z Manuelem.

KONIEC.

30,-

